

Osiemnastu dziennikarzy skupionych w Pracowni Reportażu SDP zebrało ponad 40 relacji kolegów uczestniczących w wydarzeniach gdańskiego Sierpnia. Materiał został podzielony na 10 teczek. Prezentowany poniżej tekst jest zawartością jednej z nich — szkicem fragmentu książki przygotowywanej dla Krajowej Agencji Wydawniczej, Oddział w Łodzi.

AUTORZY WYWIADÓW: Julian Beck, Małgorzata Goliczka, Anna Kot, Jolanta Kwapisiewicz, Zofia Kraszewska, Krzysztof Krubski, Ewa Łukasiewicz, Marek Miller, Agnieszka Ostapowicz, Urszula Surmacz, Zofia Turowska.

MOWIĄ: Wojciech Adamiecki („Literatura”), Bogumił Biegański („Na Przełaj”), Irena Dryll („Trybuna Ludu”), Andrzej Drzycimski (WTK), Zbigniew Gach („Czas”), Wojciech Gielżyński („Kontynenty”), Piotr Góral („Kultura”), Ryszard Kapuściński („Kultura”), Tadeusz Knade („Słowo Powszechne”), „Bohdan Kosiński (WFD), Zbigniew Niemcewicz („Głos Pracy”), Lech Stefański („Polityka”), Jerzy Surdykowski („Życie Literackie”), Janina Suszniakówna („Kobieta i Życie”), Bogdan Turek (Agencja UPI), Andrzej Zajackowski (WFD).

A. ZAJACKOWSKI: Niesłuchanie trudno jest przekazać atmosferę, która panowała w sierpniu 1980 roku w Stoczni Gdańskiej. Było to coś tak diametralnie odmiennego od dotychczasowych doświadczeń, że wszelkie próby znalezienia adekwatnych przymiotników skazane są na niepowodzenie.

W. ADAMIECKI: Pierwszy obraz, który zapamiętałem, to był widok stoczniowej bramy. Wisiały na niej portrety Papieża i Matki Boskiej.

Dalszy ciąg na str. 4



Gdańsk — Sierpień 1980

Foto: Zbigniew Trybek

Lucjusz Włodkowski **samo się nie robi**

Powszednią rzeczywistość naszej kultury na ogół dobrze znamy. Pisano o tym i mówiono ostatnio wiele, rysując ze szczególną troską i niepokojem obraz pełen czarnych barw. Kulturowe, zaniedbywane od dłuższego czasu, kryzys dotknął szczególnie boleśnie. W każdej niemal dziedzinie stan jest opłakany. Kultura, jak żadna inna dziedzina naszego życia, pilnie potrzebuje inwestycji. W tym pięcioleciu powinniśmy zakończyć tylko takie inwestycje kulturalne jak: Zakłady Graficzne w Gdańsku, Bibliotekę Narodową w Warszawie, Wytwórnię Polskich Nagrań w Warszawie, Wytwórnię Filmów Dokumentalnych, Zamek Królewski w Warszawie, a także warszawską wytwórnię Instrumentów dętych i perkusyjnych oraz muzea narodowe w Poznaniu i Krakowie. Żadnej z łódzkiej inwestycji kulturalnej nie ma w tym spisie. Taka jest rzeczywistość.

Na ostatnim posiedzeniu komisji kultury Sejmu PRL — jak to relacjonuje Barbara Seidler w „Życiu Literackim” — podano listę najbliższych inwestycji kulturalnych, których realizację należałoby rozpocząć w latach 1982—1985. Są to: zakłady graficzne Domu Słowa Polskiego w Warszawie, Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie, zakłady graficzne w Toruniu, Poznaniu i Łodzi, Drukarnia Akcydensowa w Warszawie, zakłady mechaniczne przemysłu poligraficznego „Grafiasz” w Warszawie, Wytwórnię Filmów Fabularnych w Warszawie, 25 kin, oddział fortepianów w Kaliskiej Wytwórni Fortepianów i Pianin, odtworzenie Lubelskiej Fabryki Instrumentów Lutniczych, Dom Studenta dla szkoły filmowej w Łodzi, dwa pawilony dla szkoły muzycznej w Katowicach i dla ASP w Krakowie, rozbudowę przedsiębiorstw konserwacji zabytków i baz przedsiębiorstw rozrywkowych.

Dalszy ciąg na str. 3

Tomasz Soldenhoff **skazani na pałac**

Mnożą się — także w prasie — głosy za stworzeniem w Zamku Ujazdowskim Centrum Sztuki Współczesnej. Jedni chcieliby zamienić zamek w muzeum sztuki. Część artystów i krytyków ujrzała w tym dowód niezrozumienia potrzeb twórców i idei popularyzacji sztuki współczesnej. Ujrzała — i zaproteściowała głośno, zapominając tylko o jednym. Że w żądaniu dla nowoczesności starego pałacu kryje się groźba powtórzenia smutnych doświadczeń Muzeum Sztuki w Łodzi.

Przed 33 laty unikalna, międzynarodowa kolekcja sztuki abstrakcyjnej umieszczono w pofabrykanckim, neorenesansowym pałacu Poznańskich. Ze strony młodej władzy gest ten był niewątpliwie dobrodziejstwem, jeśli zważyć, że dotyczył sztuki do dziś w szerokich kręgach uchodzącej za „oderwaną od życia” i „niezrozumiałą”. Ofiarowując ów gmach, na pewno poprawiono warunki pracy muzeum, równocześnie jednak na wiele lat zablokowano jego rozwój.

„Faktyczna nieobecność polskiej sztuki współczesnej w świadomości społeczeństwa jest w dużym stopniu rezultatem braku takich instytucji jak Centrum Sztuki Współczesnej” — napisali w liście otwartym opublikowanym w „Kulturze” członkowie stowarzyszenia Ruch „Świat”. Ma to

być argumentem na rzecz lokalizacji takiego centrum w warszawskim zamku.

Gdyby jednak poszukać w naszym pejzażu kulturalnym instytucji, której dotąd w niemalym ślepiu udawało się spełniać rolę takiego centrum, to wybór musi paść na Łódzkie Muzeum Sztuki. Zasłużyło sobie ono na to miano przede wszystkim rangą swych zbiorów, a zwłaszcza — choć nie wyłącznie — najwęższej w kraju i unikalnej w Europie Wschodniej międzynarodowej kolekcji sztuki nowoczesnej.

Ale zasłużyło sobie również różnymi próbami wykraczania poza stereotyp muzeum, poza sztywną i martwą już formułę galerii-swiątyni, stając się nośnikiem idei nowego muzeum, zaczątkiem szeroko otwartego, wielofunkcyjnego ośrodka kultury.

O „SZKLANY DOM” DLA MUZEUM

Ze wszystkich placówek muzealnych w Polsce właśnie Łódzka była i jest najbliższa zrealizowania odmienną, nowoczesną wizję muzeum sztuki. Niemal każdy z obecnych jej pracowników nosi w sobie nieco inny wariant tej wizji. W wielu pun-

Dalszy ciąg na str. 3

„Przesilenie grudniowe” napisał Mieczysław F. Rakowski w 1978 roku. W dwa lata po wydarzeniach radomskich — pierwszym niesłuchaniu ostrym dzwonku ostrzegawczym dla władzy i na dwa lata przed Sierpniem. I gdyby wówczas książka ta została wydana, odczytywana by była zapewne w kontekście ukazania przez autora mechanizmu zwyrodniania władzy, jej kłopotów nie tyle z rządzącymi co z samą sobą i jak wbrew teoretycznym założeniom w praktyce ulega ona swoistej deprawacji. Z perspektywy doświadczeń 1980 roku, odczytujemy ją dziś jako rodzaj dokumentu ukazującego, iż

Tadeusz J. Żółciński **nieustająca lekcja historii**

kryzys niekontrolowanej oddolnie władzy jest cykliczny, jeśli władza ta pozbawiona jest samokontroli i w

porę nie zostanie poddana swoistej renowacji, rotacji itp.

I choćby nie wiem jak tę książkę czytać, mimo iż dotyczy konkretnych wydarzeń Grudnia 1980 roku, odczytywać ją zawsze będziemy w kontekście wydarzeń zarówno 1956 roku (Poznańskiego Czerwca), jak i świeższych ubiegłorocznych. Tym bardziej, że przez karty tej książki przewijają się nazwiska osób, wówczas w wydarzeniach grudniowych jakże pozytywnych, dziś po sierpniu jednoznacznie osądzonych negatywnie. Okazało się bowiem, że ci sami ludzie tak ostro i pryncypialnie krytykujący poprzednią ekipę rządzącą, do-

Dalszy ciąg na str. 5

3 KONRAD FREJDLICH w rok po zawale

Czy kryzys można przezwyciężyć, czy też powoli, przed czym tak żarliwie przestrzegał wicepremier Rakowski, będziemy się przyzwyczajając do jego permanencji? Jest to, z psychologicznego przynajmniej punktu widzenia, niebezpieczeństwo zupełnie realne. Dezorganizacja naszego rynku nie zaczęła się ani po Sierpniu, ani nawet w dekadzie Gierkowskiej. Odkład slegam pamięcią zawsze nam czegoś brakowało, jeśli nie przysiołkowiowych uszczerek, to gumek do słoików Wecka, jeśli nie pasty do butów, to sznurowadeł. Po Październiku 1956, kiedy już można było swobodnie opowiadać dowcipy polityczne, obiegła cały kraj anegdota o pieknie, w którym podobnie jak na ziemi, obowiązywały ideologiczne podziały. Do piekła socjalistycznego ustawiła się długa kolejka potępieńców, stali w niej nawet najzagorzalsi zwolennicy kapitalizmu. Szybko wyjaśniła się tajemnica tego

powodzenia. W piekło kapitalistycznym płonął pod kotłem ogień i grzeszne dusze plawiły się we wrzącej smołe wystawione na najgorsze męki. W piekło socjalistycznym potępieńcy biegali swobodnie bez zajęcia: kiedy dowiedziano węgiel, nie było zapalek, żeby go podpaść, kiedy już były zapalaki okazało się, że nie ma smoły. To co w 1956 r. było jeszcze dowcipem, jest w ćwierć wieku później groźnym horrorem. Niestety, doszliśmy do sytuacji, w której nie ma jednocześnie węgla, zapalek i smoły, nie ma także kotła, bo ten, który zapewne był, umieszczono w prywatnej willi dygnitarza wyrzuczonego ostatnio z partii.

Spróbujmy przełożyć teraz tę anegdotę na język realiów raportu o stanie gospodarki. Rzecz charakterystyczna: ogólnej diagnozie sytuacji i przesłankom przezwyciężenia kryzysu poświęca on ledwie jeden króciutki podrozdział. Czyżby

autorzy raportu nie chcieli wchodzić w kompetencje Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej? Przypuszczam, że posiadają mniejsze poczucie taktu i chętnie bym popatrzył jak dwie grupy doradców rządowych skrzyżowały szpady w intelektualnym pojedynku. Może by z tego wyniknęło coś sensownego, coś co w dzisiejszej ogólnej niemożności byłoby wreszcie próbą rzeczywistego przezwyciężenia kryzysu. Na razie przychodzi nam konstatować, w ślad za raportem, fakty. Jest tak źle, gdyż nastąpiło przekroczenie dopuszczalnego zadłużenia w stosunkach z zagranicą. Jednocześnie nie mamy dostatecznych zdolności eksportowych umożliwiających z jednej strony terminową spłatę zobowiązań, z drugiej zaś finansowanie niezbędnego importu. Ta patowa sytuacja sprawia, że od miesięcy drepniemy w miejscu. Nie są to

Dalszy ciąg na str. 5

WŚRÓD LAUREATÓW tegorocznych nagród Komitetu do Spraw Radia i Telewizji znaleźli się także: Jerzy Biedrzycki (nagroda I stopnia), Radosław Gieglar (nagroda I stopnia), Roman Mater (nagroda II stopnia) z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia i Jerzy Binder (nagroda I stopnia) z Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Gratulujemy!

KRONIKA KULTURALNA

W KONKURSIE Zarządu Wojewódzkiego Ligi Ochrony Przyrody w Łodzi na najlepsze publikacje prasowe, radiowe i telewizyjne, poświęcone tematowi ochrony przyrody został wyróżniony Henryk Smolaga z Polskiego Radia i współpracownik „GR”, Henryk Szubert.

ZAKOŃCZYŁ SIĘ konkurs zamknięty na opracowanie koncepcji architektonicznej na osiedlu parafialnym w Łodzi na najlepsze publikacje prasowe, radiowe i telewizyjne. W konkursie wzięli udział zespoły architektów z Łodzi, Warszawy, Gdańska i Krakowa.

Nagrodę, która stanowi przeznaczenie projektu do realizacji, otrzymał zespół z Warszawy w składzie: Stefan Kuryłowicz i arch. Waldemar Szczerba, perspektywa — arch. Stefan Kartowski, makleta — Jan Marchwicki.

ZARZĄD DZIENNICOWY TŁ Łódź — Polesie ogłasza ogólnolódzki konkurs fotograficzny pod hasłem „Obiekty kultu-ralne Polesia”. Przyjmowane będą fotografie czarno-białe, ilość zdjęć nieograniczona. Prace należy nadsyłać do 30 listopada br. pod adresem: Dziennicowy Domu Kultury Łódź-Polesie.

Na zwycięzców czekają nagrody pieniężne.

W ŁODZI, w dniach 6-8 listopada odbędzie się VIII Kongres Techników Polskich.

Patronat nad sprawnym przebiegiem kongresu sprawi Honorowy Komitet na czele z prezydentem J. Niewiadomskim.

WE WRZESNIU Teatr im. Stefana Jaracza wznawia działalność po urlopie na swoich trzech scenach.

DUŻA SCENA zaprasza na „Trans-Atlantyk” w reżyserii Miłkołaja Grabowskiego. Spektakl uzyskał już uznanie widzów i prasy, a także został oficjalnie nagrodzony na XXII Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu. Na te same sceny wznawiamy „Przeprowadzka” Davida Williamsa w reż. Feliksa Falka.

Z początkiem nowego sezonu przeniesiony zostaje na Dużą Scenę „Grenadier — Król” w reżyserii Miłkołaja Grabowskiego.

Natomість najnowocześniejszych sympatyków naszego teatru zapraszam na musical Tadeusza Kijonki i Katarzyny Gaetner „Krasnoludki, krasnoludki”, w którym występują się wcieli najbarbarzyńskich i lubianych przez dzieci bałk. Wszystko to w barwnej i ciekawej oprawie muzycznej.

MAŁA SCENA wznawia popularną działalność „Wspomnienie” Murrella. Bohaterką sztuki jest Sarah Bernhard o raz śmieszny wspomnienie — wiersz gwiazdy tej sekretarz Pitus.

Nagradzanych aktorów „Pamiętań Siostry” w reżyserii Miłkołaja Grabowskiego w adaptacji i reżyserii Miłkołaja Grabowskiego nie trzeba dodatkowo rekomendować. Zapraszamy tych, którzy nie mieli okazji wcześniej przekonać się o nieporównywalnej aktualności zadaniowej dla potrzeb sceny obrazków ze szlacheckiej, sarmackiej przeszłości Polski i Polaków.

Starożytny mit o Elektrze w odmiennym nieco ujęciu przystępny spektakl Leszka Guryka „Elektra, moja miłość” w reż. Jacka Andruckiego.

TEATR „LIS” — scena o profilu rozrywkowym — zaprasza na „Mikroś w Wenecji” Louisa Velle’a melodramat ze sfer artystycznych, którego akcja toczy się w Wenecji, podczas odbywającego się w Wenecji festiwalu filmowego.

Kolejną pozycją na tej scenie, to „Fachowcy” S. Friedmanna i J. Kofy w reż. Jerzego Gruzdy i Krzysztofa Materny.

Także na tej scenie można nadal oglądać spektakl Jana Pietrasika „Jednak kabaret”, który — dzięki „bałkości” smętnego autora — nie traci nic ze swej aktualności.

Lato w pełni, ale w polityce międzynarodowej nie ma wakacji. Nie ma też urlopowego spokoju. Również w Polsce. Nowa fala napięcia społecznego, zerwanie rozmów między rządem i „Solidarnością” — wszystko to niepokoi nie tylko nas, ale

TYDZIEŃ W POLITYCE

również sojuszników i partnerów. Znowu zainteresowanie prasy zagranicznej w dwójony sposób skierowało się ku Polsce. AFP, Reuters, AP i inne liczące się agencje zachodnie nie tylko informują o ostatnich wydarzeniach w naszym kraju, ale również snują rozważania. Oto jedno z nich:

1. Niedługo, bardzo niedługo, bo przecież za kilkanaście dni, minie rok od tych euforii jakie przeżywaliśmy — jedni w stocznich, w kopalniach, inni po prostu w domach, przed telewizorami — świadcząc podpisywaniu aktów, o których już wtedy, w tamtym momencie, wiedzieliśmy, że są epokowe, historyczne. Odpadło napięcie, cały naród, no, może prawie cały, poczuł się szczęśliwy. Pamiętam, ktoś z siedzących obok mnie, rozpreżony, rozluźniony, rzucił aktualne jeszcze wtedy i co ważniejsze — wykonane (pamiętacie?) zawołanie: no, to teraz po maluchach do roboty! Ktoś tam inny skrzywił się, ale wypili. Okazji było sporo (pamiętacie?), bo telewizja raz po raz pokazywała bohaterów narodowego spektaklu, tak, że jak teraz wszystko sobie przypomnę, widzę podchodzących to Jagielskiego, to Wałęsę, Barcikowskiego, to znów Jureczyka, z długopisami, z piórami, nieustannie podpisujących, dawno nas w gardle, bo szedł Wrzesień, pamiętna, tragiczna rocznica; jak nigdy czuliśmy się zjednoczeni, silni, zwaśni, gotowi do narodowego, pokojowego czynu.

Jeszcze teraz, w dowolnej chwili, można przywołać przed oczy ten replay sekunda po sekundzie. Cofać obraz. Zatrzymać. Coraz częściej zdarza mi się widzieć tę scenę, te sceny, jak na stole montażowym. Długopis zbliża się do papieru. Ręka się zatrzymuje. Wahanie. I film się cofa...

Dziś... ech, to takie gdybanie. Mądry Polak po szkodzi. Wtedy, tamtego wieczoru, nie można już było inaczej, wydarzenia poszły za daleko; błędy pierwsze, w Lublinie, jeśli brać pod uwagę tę tylko sekwencję, zrodziły następne. Bardzo już chcieliśmy, ogromna większość z nas chciała, aby mieć wreszcie za sobą ten sierpień, tamten Sierpień; podpis jeden, drugi, to było i zachłystnięcie się chwilą i skok przez przepaść w ucieczkę przed lawiną.

Gdybanie niczego oczywiście nie daje, co najwyżej wywołuje frustrację; czy nie warto by jednak, dla celów szkoleniowych, cofnąć tego filmu? „Dla nikogo już chyba nie jest tajemnicą, że negocjacje, jakie komisje rządowe prowadziły ze strajkującymi, były nie tylko nieefektywne, ale i że prowadzone były nie w tej, jakiej było trzeba, kolejności. Stosunkowo szybko wyrażano zgodę na postulaty placowe, punktem neuralgicznym rokowań stały się zaś niezależne, samorządne związki zawodowe”. Meczło mnie to już w październiku. Dzisiaj dodabym do tego, że rokowania były nieefektywne nie tylko dlatego, że prowadzone nie w tej kolejności. Kierownictwo partii, oderwane od klasy robotniczej, nie umiało zdefiniować istoty tego, co się dzieje na Wybrzeżu, co się zaczyna dziać w całym kraju. Partia, rozbrojona ideologicznie, nie przygotowana do rozstrzygnięcia pryncypialnych kwestii, długo nie mogła dostrzec tego, że spiera się z robotnikami, a więc z klasą rządzącą, z którą powinna się identyfikować. Długo sądzono, że wszystko da się załatwić pieniężnie. A tymczasem nie o nie chodziło. A przynajmniej nie na pierwszym planie.

A czy dzisiaj dokładnie wiemy o co chodzi? Czy nie zostaną popełnione kolejne błędy?

2. Rozmawiany został, strajkiem zreszta, zator na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej: rozpełzł się jednak po kraju, co zmusza do postawienia kolejnych diagnoz. Wytworzyła się jakby nowa i jednocześnie niebezpieczniejsza sytuacja: ludzie wychodzą na ulice, zapowiadane są zloty gwałtowne w różnych rejonach kraju. Jednocześnie, po raz pierwszy na taką skalę, odzywają się głosy sprzeciwu wobec tego rodzaju posunięć. I nie mówię tu o stanowisku władz, o ocenach formułowanych przez stronę rządową, której sprzeciw jest w takim wypadku sprawą oczywistą, lecz o głosach milczących do tej pory organizacji partyjnych, czujących już za sobą poparcie mas członkowskich, o mediatorskich nawoływaniach organizacji społecznych, zawodowych, związkowych. Po raz pierwszy od Sierpnia zachodzi tego rodzaju głęboka polaryzacja poglądów w samym społeczeństwie, a nie tylko w jego organach przedstawicielskich. Z grubszą podziałką jest taki: z jednej strony są ludzie zmęczeni, znęcani trudnościami dnia dzisiejszego, wyrzucający z siebie całą skumulowaną złość, z drugiej zaś ci,

— Fiasko negocjacji ma poważne konsekwencje dla przyszłości Polski, w której fala niezadowolonych społecznych rozszerza się z upływem dni. Umysł w Polsce dalekie są od uspokojenia, podczas gdy rząd, po dokonaniu mobilizacji swych środków i przyjęciu szeregu posunięć, jest zdecydowany nie dokonywać więcej kroków wstecz. Dowodem — jego nieprzejednanie podczas negocjacji, a także stanowcza postawa wobec manifestacji ciężarówek. W rok po wielkich strajkach spór między rządem i „Solidarnością” pozostaje ten sam w głównych punktach, podczas gdy margines stron jest od tej pory bardzo wąski.

Nie z każdym sformułowaniem tej oceny można się w pełni zgodzić, jeśli ją jednakże przytoczyliśmy to dlatego, aby wykazać Czytelnikom, co i jak pisze się aktualnie o Polsce.

Z niepokojem i oburzeniem przyjęliśmy rezolucję Izby Reprezentantów Kongresu amerykańskiego, poświęconą wydarzeniom w naszym kraju. Jest ona typowym przykładem mieszania się innych państw w wewnętrzne problemy kraju. I wtedy, kiedy uzależnia się sprzedaż

którzy obawiają się, że jeśli nie opanujemy dzisiejszego chaosu, jutro będzie tym gorzej. Szczególny niepokój innych wywołał na przykład strajk kopalń, przywołujący widmo mrozu i ciemności.

Jak zwykle w takich wypadkach, przy głosach po prostu rozsądnych, pojawiają się i demagogiczne, których celem jest chyba wygranie własnych kart. Oto w posłaniu Prezydium Zarządu Głównego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Budowlanego i Spółdzielczości Budownictwa Mieszkaniowego, przemawiającego „w imieniu półmilionowej rzeszy budowlanych”, pojawił się na przykład taki passus: „Szacuje się, że straty w gospodarce z tytułu strajków od sierpnia 1980 roku przekraczają już skutki chybionej w minionej dekadzie polityki ekonomicznej”. No cóż, rozmiary szkód wywołanych strajkami i innymi akcjami, mocno ważą na naszej zrujnowanej gospodarce. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Przyrównywanie jednak tych strat do tego, co osiągnięliśmy w tym względzie w minionym dziesięcioleciu, choćby biorąc pod uwagę owe dwadzieścia kilka miliardów dolarów długu, może być wynikiem co najmniej osłabionej niefrasobliwości myślowej, szczególnego wotuntaryzmu. Pomijam już że jest to myślenie nie dialektyczne, odrywające skutek od przyczyny; to,

JERZY KATARASIŃSKI

„Z UWAGI NA NIEPORZĄDKI...”

co się dzieje dzisiaj, wynika przecież bezpośrednio z polityki społecznej i ekonomicznej minionego dziesięciolecia.

Znowu wszystko zaczyna się dziać szybko, zachodzi obawa, że po którejś ze stron puszcza komuś nerwy, że ktoś źle ocenił sytuację, źle wymierzy rozbieg przed kolejnym skokiem. I znowu będziemy marzyć o tym, żeby móc cofnąć film...

3.

Dosyć częstym motywem polemiki — jeśli tak to można określić — z postawami ludzi wychodzącymi na ulicę w protest przeciw sytuacji ekonomicznej, jest zdanie mówiące o tym, iż od protestów i strajków chleba nie przybędzie. Często to zdanie spotyka się na pierwszych stronach gazet. Jest ono tyleż słuszne, co i w swoim oddziaływaniu nieskuteczne. Ci, którzy wychodzą na ulicę doskonale zdają sobie z tego sprawę i tego akurat tłumaczyć im nie trzeba. Dlaczegoż więc, mimo wszystko, wychodzą na ulicę? Dlaczego, ewentualnie, dają się na temu nakłonić? Aby zastosować skuteczne remedia, trzeba by spróbować poszukać odpowiedzi na to pytanie.

Jedną z przyczyn, istotnych, jak mi się wydaje, jest — o czym pisałem w poprzednim numerze — chęć przezwyciężenia, za wszelką cenę, poczucia własnej bezsilności. Skoro człowiek nie może, czy nie umie, zastosować racjonalnych metod zwalczania jakiegokolwiek niedogodności, ucieka w działanie irracjonalne, po to, aby się choć rozładować. Forma tego rozładowania może być bardzo różna, często przypadkowa, ludzie też łatwo wtedy dają sobą powodować.

Jest to więc protest przeciwko sytuacji jako ta-

kiej, wyglądający z pozoru na bezsensowny. Istnieje jednak chyba i inne przyczyny protestów. Należy do nich, jak mi się zdaje, niewiara w to, że organa i instytucje mające za swój obowiązek oprowadzanie sytuacji ekonomicznej, w tym i zaopatrzeniowej, zrobiły wszystko co do nich należy. Nie jest to niewiara pozbawiona podstaw, skoro rezultatem protestów stało się powołanie, być może wcześniej planowane, ale teraz przyspieszone, np. rządowego operacyjnego sztabu antykrzysowego oraz Nadzwyczajnej Komisji do Walki ze Speculacją. Może się to okazać skuteczniejsze od głoszenia truizmów.

Powodem innym, którego spektakularnym dowodem są antyrządowe i antypartyjne hasła noszone w pochodach, jest kwestionowanie przez jakąś część ich uczestników prawa partii do prowadzenia narodowi i kompetencji rządu do sprawowania władzy. Jest to stwierdzenie gorzkie, ale nie trzeba przed nim chować głowy w piasek. Można oczywiście powiedzieć, że obnoszenie tego rodzaju hasła jest prostym skutkiem istnienia, także w „Solidarności”, elementów ekstremalnych — pojawi się jednak wtedy pytanie kolejne — dlaczego takie hasła nie są odrzucane. Otóż dlatego, że po prostu antypartyjne i antyrządowe nastroje istnieją, a elementy ekstremalne także się skądś biorą.

Najprostszą reakcją na tego rodzaju nastroje jest wyrażanie kontrotestu. O ile będzie on dostatecznie silny i zmasowany, może na jakiś czas poskutkować: nastroje te ucichną, co wcale nie znaczy, że znikną. Podobny byłby skutek represji. Działaniem najskuteczniejszym będzie jednak takie, które potwierdzi przewodnictwo partii i kompetencje rządu.

Nie jest to w obecnej sytuacji ani proste, ani łatwe. Prawdą obiektywną jest to, że za sytuację w kraju odpowiada partia. Można zawieść tę odpowiedzialność do byłego kierownictwa, czy też kierownictwa partii, ale to już jest podział odpowiedzialności wewnątrzpartyjnej. Prawdą obiektywną jest i to, że rząd, popełniający, swoją drogą, błędy na swój własny rachunek, płaci także za błędy byłych rządów. Przełamać nieufność można tylko w jeden sposób: poprzez realizowanie programu, który — zrozumiałe, że zwolna, nie od razu — przynosi wymierne, namacalne efekty. Nie ma co się obrażać na naród (a z takimi postawami można się zetknąć), naród ma prawo być nieufny (nieufność nie pomaga, ale to już trudno, jest jak jest). Zaufanie trzeba zdobyć, ale tego nie da się zrobić ani prośbą, ani groźbą, ani dekretem, ani żądaniem, ani też strachem, lecz tylko mądrym działaniem.

Teraz ja znowu wygłosiłem kilka truizmów, ale coś zrobić, bez nich, jak się okazuje, nie można się obejść. Czyżby i ja jednak pod nimi coś ukrywał, co nimi kamuflowałem? Uczciwie mówię — chyba tak. Może to, że, jak do tej pory, nie chciałem powiedzieć, iż obrażanie się na naród za to, że jest jaki jest, spowodowane jest, moim zdaniem, przyzwyczajeniem do starego układu, w którym władze się miało ponad narodem. Bardzo trudno się od tego odzwyczaić nie tylko ministrom i sekretarzom, ale i pomniejszych przedstawicielom władzy.

A skuteczne, mądre działanie? Szybkie działanie? Od IX Zjazdu PZPR minęło sporo czasu, jak na te czasy. Materiały zjazdowe ukazują się z dużym opóźnieniem, ich popularyzacja — to kolejny posłizg, a informacja wewnątrzpartyjna to inny rozdział...

4. W kraju toczy się walka o władzę. Co rusz ktoś się tego wypiera, ale to przecież dość oczywiste, że zwłaszcza w takiej sytuacji, w jakiej jesteśmy, kiedy władza obecna jest osłabiona, muszą się pojawiać chętni. To wcale nie znaczy, że ktoś tę władzę chce przejąć teraz, kiedy jest taki bałagan. Tylko Herkules zdobył się na czyszczenie stajni Augiasza, ale Herkulesowi coś u nas nie widać. Można więc przewidywać, że gra będzie się toczyć o przejęcie zasług w porządkowaniu kraju, po to, aby ewentualnie powalczyć, kiedy pole będzie jako tako uporządkowane. Trzeba to powiedzieć, aby uświadomić społeczeństwu, że kto teraz chce utrzymać władzę, bierze na siebie najczarniejszą robotę. To powinno zaskakiwać na szacunek.

Dalszy ciąg na str. 6

żywności od dróg rozwiązania konfliktu. I wtedy, kiedy uważa się sięgnięcie po konstytucyjne środki znormalizowania sytuacji za zjawisko dla Waszyngtonu niepokojące.

Niemal w tym samym czasie świat obiegła wiadomość, że rząd amerykański, śmiejąc się swą zapowiedź, rozpoczął zwołanie z prac 13 tysięcy strajkujących kontrolerów ruchu lotniczego w USA, ponieważ strajk uznano za nielegalny i nie dotrzymany został termin, wyznaczony przez władzę, powrotu do pracy. Równocześnie związek ukarany został grzywną w wysokości 100 tys. dolarów za każde godzinne strajku. By obraz działań był pełny — dodajmy jeszcze, że pięciu przywódców tego związku zawodowego zostało aresztowanych. A więc podjęto działania zdecydowane, bo takie rząd uznał za słuszne.

Pozostawmy wnioski, wynikające ze zderzenia tych dwóch informacji, Czytelnikom i przejdźmy do innego tematu.

Sytuacja w świecie jest nadal bardzo złożona, a zdaniem Kurta Waldheima, sekretarza generalnego ONZ, najtrudniejsza od czasu kryzysu kubańskiego. Głównym powodem tego

jest stan stosunków między dwoma największymi mocarstwami.

Minęło właściwie sześć tygodni od przyjęcia przez Rade Najwyższą ZSRR apelu „do parlamentów i narodów świata”. Spotkał się on z szerokim zainteresowaniem i dużym poparciem, ponieważ zawierał konstruktywne treści. Pozytywnie do jego idei odnosiła się np. część kół parlamentarnych we Włoszech, Belgii, Holandii... Niestety, żadnej odpowiedzi nie udzielił dotychczas Kongres USA, choć podobno apel ten nadal się studiuje. Tymczasem sytuacja nie ulega poprawie, a nawet odwrotnie — Stany Zjednoczone gwałtownie zwiększają swe zbrojenia. Jakże wobec tego ciężkie oczekiwanie z zapowiedzianym pierwszym spotkaniem Andrzeja Gromyki i Alexandra Haiga? Nie musimy dodawać, że świat zainteresowany jest podjęciem rokowań przez dwa supermocarstwa. Dla Europy mogą to być rokowania o decydującym znaczeniu — jeśli bowiem się nie odbędą lub nie powiodą, jej bezpieczeństwo zostanie osłabione przez rozmieszczenie amerykańskiej broni rakietowo-jądrowej średniego zasięgu. Zrealizowanie tej

decyzji narusza przecież równowagę militarno-strategiczną.

Waszyngton często w ostatnim okresie głosi, że w dziedzinie atomowych broni strategicznych Związek Radziecki ma przewagę. Warto w związku z tym odnotować ogłoszenie w ub. tygodniu studium rządu RFN, w którym stwierdza się, że USA i ZSRR rozporządzają w chwili obecnej mniej więcej takimi samymi potencjałami strategicznej broni jądrowej. Tak więc pośrednio rząd kanclerza Schmidta jak gdyby potwierdzał, że amerykańskie dobrajanie się ma na celu uzyskanie przewagi militarnej nad Związkiem Radzieckim.

I na zakończenie jeszcze jeden fakt polityczny z ub. tygodnia.

Jak wiadomo były prezydent Iranu — Bani Sadr znalazł się ostatnio we Francji, a rząd tego kraju odmówił jego ekstradycji. Stało się to powodem raptownego zaognienia stosunków na linii Teheran—Paryż. Irańska agencja PARS oskarżyła Francję o to, iż jej terytorium staje się „ośrodkiem działania przeciwko republice islamskiej”.

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego) EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BLĄZEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDEKAR, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, MAREK MILLER, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOJENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NIROCYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Dalszy ciąg ze str. 1

Tyle fakty. Czy jest to rejestr wszystkich potrzeb? Bez wątpienia nie. Łódzkie środowiska kultury mogłyby tę listę znacznie wzbogacić. Choćby o gmachy dla Muzeum Sztuki i Filharmonii. Faktem jest również, że obecnie na potrzeby kultury wydaje się 0,6 procent dochodu narodowego. A powinno wydawać się do 2 procent. I taki postulat zawarty jest w „Uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR”. Pozwól sobie ten fragment „Uchwały” zacytować, gdyż bardzo często dyskusja o rezultatach IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR toczy się bez znajomości podstawowych dokumentów. Inna sprawa, że te dokumenty docierają do społeczeństwa, a przede wszystkim do organizacji partyjnych zbyt późno. Wspomniany passus „Uchwały” brzmi:

„Należy przerwać spadek nakładów na kulturę, które stanowią obecnie ok. 0,6 proc. budżetu i zapewnić ich stały wzrost. Tak, aby w perspektywie osiągnęły ok. 2 proc. budżetu.”

Do dalszego ciągu tego punktu „Uchwały” jeszcze wróć.

Wszyscy doskonale zdajemy sobie sprawę, że same nakłady nie rozwiążą problemu rozwoju kultury w Polsce. A rozwój ten jest dla naszej przyszłości niezbędny. Żaden naród nie może rozwijać się prawidłowo bez nawiązywania do swoich tradycji, bez rozwijania swojej kultury. My znajdujemy się w takim momencie krytycznym, kiedy nie tylko gospodarkę mamy w stanie pełnego rozkładu, ale również od dłuższego czasu hamowany jest rozwój kultury. Skutki takiego stanu odczuwalne będą przez długie jeszcze lata. Po wyjściu z kryzysu oczywiście, bo i wychodzenie z kryzysu potrwać musi.

Proces degradacji kultury zaczął się dość dawno. Kultura była traktowana instrumentalnie, dzielona i ograniczana, a także odrywana od tradycji. „Uchwała IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR” zrywa z taką praktyką:

„Kultura polska rozwija się w warunkach ścierania się różnorodnych nurtów ideowych i światopoglądowych. Ta różnorodność i wzajemne przenikanie odmiennych prądów kulturowych dawały pozytywne owoce zawsze, gdy istniał klimat tolerancji, który jest trwałą wartością historii naszego narodu. Partia opowiada się za kontynuacją tej tradycji. Kultura socjalistyczna, wyrastająca z całego postępowego dorobku, jest istotą tożsamości narodowej.”

Nim jednak „Uchwała IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR” dotarła do szerokich odbiorców, spotkała się z krytyką. Krytykowano oczywiście nie samą „Uchwałę”, ale wiarygodność Zjazdu, który dla spraw kultury — zdaniem krytykujących — nie zrobił nic. Argumentem w tej krytyce był fakt, że na plenarnym posiedzeniu Zjazdu nikt nie mówił o kulturze, nie leżąc odpowiednich fragmentów przemówienia Stanisława Kani poświęconych z obowiązku sprawom kultury. Drugim argumentem za tym, że Zjazd nie uczynił dla kultury, był fakt małej reprezentacji ludzi kultury wśród delegatów, a także wśród nowo wybranego Komitetu Centralnego PZPR.

W naszym życiu społecznym bardzo często opinie kształtuje się na domniemaniach, posądzeniach, domysłach, albo wręcz na wiadomościach zasłyszanych. Stąd biorą się nieporozumienia, błędne sądy, które później długo funkcjonują w różnych środowiskach, dezinformując i składając do błędnych wniosków. Nie chcę przez to powiedzieć, że wśród delegatów na IX Zjazd była rzeczywistość silna reprezentacja ludzi kultury. Przeciwnie. Było inaczej. Ale chcę przez to powiedzieć, że na poprzednich zjazdach partyjnych taka reprezentacja była i nie zahamowało to upadku naszej kultury.

Sięgnijmy do dokumentów.

Na VII Zjeździe PZPR sprawami kultury zajmował się XIII zespół, któremu przewodniczył — Kazimierz Rokoszewski. W dyskusji w tym zespole między innymi głos zabierali: Mieczysław Woźniak, Zbigniew Zasłuski, Wiesław Garboliński, Stanisław Cześnin, Andrzej Twardochlib, Jerzy Putrament, Stanisław Kuszewski, Jerzy Krasowski, Władysław Machajek, Czesław Petelski, Tadeusz Łomnicki.

W „Uchwale VII Zjazdu PZPR” na temat rozwoju kultury znalazły się następujące stwierdzenia:

„W procesie budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego partia wielką wagę przywiązuje do rozwoju kultury.

Zadaniem, jakie partia stawia przed twórcami, jest stałe wzbogacanie socjalistycznych, patriotycznych i humanistycznych treści naszej kultury, dbałość o wysoki poziom artystyczny, troska o treści ideowe zgodne z idealami naszego ustroju oraz najlepszymi tradycjami polskiej literatury i sztuki...”

Należy rozszerzyć udział ludzi pracy w życiu kulturalnym oraz ich wpływ na treści kultury. Służyć temu powinno doskonalenie pracy zawodowych instytucji kulturalno-artystycznych oraz wzbogacanie i rozwój społecznego ruchu kulturalnego. Konieczne jest pogłębienie ideowo-wychowawczych funkcji instytucji i placówek kultury. Należy lepiej wykorzystywać kadrowy i materialny potencjał kultury polskiej.

Komentować tego nie muszę. Był to rok 1975. VII Zjazd PZPR nie dokonał przełomu w polityce kulturalnej partii.

Na VIII Zjeździe PZPR sprawami kultury zajmował się zespół XVI, któremu również przewodniczył Kazimierz Rokoszewski. W dyskusji, w czasie pracy tego zespołu, głos między innymi zabierali: Marian Kuszewski, Tadeusz Łomnicki, Jerzy Kawalerowicz, Jerzy Putrament, Eugeniusz Patyk, Wiesław Garboliński, Mieczysław Róg-Swistek, Andrzej Wasilewski, Stanisław Cześnin, Jan Górec-Rosiński, Ryszard Stanisławski.

W „Uchwale VIII Zjazdu PZPR” znalazły się następujące stwierdzenia:

„Partia przywiązuje nadal wielkie znaczenie do rozwoju socjalistycznej kultury narodowej i działalności środowisk twórczych, instytucji artystycznych i placówek kulturalnych, ruchu społeczno-kulturalnego oraz instytucji masowego upowszechniania wartości kulturalnych.

Partia oczekuje od stowarzyszeń twórczych i artystycznych dalszego zwiększania ich współodpowiedzialności za rozwój kultury narodowej i kształtowanie postaw ideowych ludzi sztuki, za inspirowanie i popieranie twórczości służącej realizacji szczytnych ideałów socjalistycznego humanizmu, umacniającej wiarę w człowieka oraz sens jego twórczej pracy. Szczególna rola przypada organizacjom partyjnym środowisk twórczych oraz twórcom — członkom partii.

Partia będzie troszczyć się o zapewnienie coraz lepszych warunków do rozwoju twórczości artystycznej, otaczając opieką młode pokolenie twórców, dbając o ich rozwój ideowy i artystyczny.”

Sądze, że i tego nie trzeba komentować. Był to luty 1980 roku. Trzeba natomiast powiedzieć, że ani przez chwilę nie wątpię, iż wszyscy, a przynajmniej większość z tych, którzy na VII i VIII Zjeździe partii zabierali głos w sprawach kultury nie mówili z troską, niepokojem o jej dalszy rozwój, nie sygnalizowali trudnej sytuacji materialnej kultury, nie mówili o potrzebach, nie wskazywali sposobów wyjścia z kryzysu. Skutek tego jest nam dobrze znany.

Na IX Nadzwyczajnym Zjeździe partii sprawami kultury zajmował się XI zespół. Jego obradom przewodniczył delegat z województwa warszawskiego Eugeniusz Duraczynski, docent, dr habilitowany, kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR. Wśród dyskutantów nie było znanych nazwisk, a przynajmniej nie było ich wiele. Zespół XI zajmował się problemami „edukacji i kultury narodowej”. Można mieć zastrzeżenie do takiego połączenia spraw edukacji i kultury, ale można też dostrzec w tym głębszy sens. W moim przekonaniu budując program rozwoju poszczególnych dziedzin naszego życia, trzeba dostrzegać ich związek z innymi. Ostatnie lata nauczyła nas raczej separacji, było to bowiem lata powstawania i utrwalania się partykularyzmów. Nie wyzwoliłmy się jeszcze z takiego, rozdzielonego sposobu widzenia rzeczywistości. A jest to sposób widzenia szkodliwy.

Wróćmy jednak do „Uchwały IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR”. W rozdziale VII w punkcie 6 zawarte są najważniejsze zadania, rozwiązania których warunkuje rozwój kultury, a właściwie jej odrodzenie. Oto one:

1. Taki rozwój poligrafii, aby produkcja książek na osobę osiągnęła 6 do 7.

2. Utrzymanie dotychczasowego stanu oraz dalszy rozwój sieci bibliotek, a także zapewnienie dopływu wykwalifikowanych kadr do bibliotek.

3. Takie rozwiązanie problemów ekonomicznych i organizacyjnych

przemysłu fonograficznego i filmowego, aby mogły one we właściwy sposób przyczynić się do upowszechniania kultury, a jednocześnie stać się źródłem dopływu środków dla dalszego rozwijania kultury.

4. Stworzenie właściwych warunków dla ochrony i rewaloryzacji zabytków polskiej kultury, jako wyraz szacunku dla tradycji.

dą się takie siły, które będą dążyły do jego realizacji i tę realizację kontrolowały. Taką siłą powinny być organizacje partyjne środowisk kultury, ale nie tylko. Kultura jest sprawą całego narodu. Tę prawdę musi też cały naród zrozumieć.

Wielu piszących o sprawach kultury po IX Zjeździe narzeka, że w nowych centralnych władzach par-

tegracyjną w środowisku kulturalnym Łodzi. Poglądy na ten temat są podzielone, są one po prostu wyrazem podziałów, jakie w środowisku istnieją.

W zespole IV Zjazdu został zgłoszony wniosek zwołania jednego z pierwszych posiedzeń plenarnych KC PZPR poświęconego sprawom kultury. W związku z tym niezbędne jest zorganizowanie spotkania delegatów środowiska kultury (delegatów na Konferencję Środowiska Kultury) z członkami władz centralnych partii z łódzkiego województwa miejskiego. Również w pracach Wojewódzkiego Zespołu Delegatów — który postanowił być niejako zespołem doradczym dla ciał wybieralnych KŁ — należy podjąć tematy wynikające z „Uchwały IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR”.

Jedno z posiedzeń Komitetu Łódzkiego PZPR — gdzie na początku 1982 roku — powinno być poświęcone sprawom kultury, powinna tam dokonać się ocena dotychczasowych programów w sprawach kultury podejmowanych przez KŁ PZPR, jak i przez Urząd Miasta Łodzi. Należy na tym posiedzeniu dokonać bilansu potrzeb i możliwości oraz opracować wytyczne dla realizacji programu rozwoju kultury przez władze administracyjne. Zapewnienie prawidłowego rozwoju kultury — trzeba to jasno powiedzieć — zależy nie tylko od rozwoju bazy materialnej kultury, ale i od stosunku do spraw kultury całego społeczeństwa. Jest więc to też sprawa organizacji partyjnych i ich stosunku do kultury. Do tej pory organizacje partyjne wielkich fabryk sprawami kultury raczej się nie zajmowały. Jest to również sprawa

SAMO SIE NIE ZROBI



5. Nieustanne starania o poprawę warunków pracy i socjalno-bytowych pracowników kultury.

6. Rządowy projekt rekompensaty wzrostu kosztów utrzymania powinien również objąć ludzi kultury.

„Uchwała IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR” stwierdza ponadto:

„Zasadniczą miarą rozwoju kultury społeczeństwa jest wzrost zasięgu i jakości uczestnictwa mas pracujących w jej tworzeniu i odbiorze. Dlatego też konieczne jest zniesienie drastycznych dysproporcji w zaspokajaniu potrzeb kulturalnych pomiędzy regionami kraju i warstwami społecznymi. Szczególnie ważne są potrzeby dzielnic robotniczych w dużych aglomeracjach oraz małych miast i wsi...”

Zjazd opowiada się za zasadą nieinstrumentalnego traktowania twórczości i swobodą twórców wartości poznawczych i estetycznych. Partia nie rezygnuje z preferencji ideowo-artystycznych. PZPR będzie sprzyjać powstawaniu takich dzieł sztuki, które współtworzą socjalistyczną świadomość społeczeństwa polskiego, kontynuują działalność kulturotwórczą polskiej lewicy, odważnie i krytycznie podejmują problematykę historyczną i współczesną z punktu widzenia ideałów socjalizmu.”

Myślę, że i tych stwierdzeń nie trzeba komentować.

Najlepiej jednak program może pozostać na papierze, jeśli nie znaj-

tyjnych reprezentacja środowiska kultury jest więcej niż skromna. To fakt. Ale wydaje mi się, że sprawa nie w reprezentacji. I nie w pięknych przemówieniach na obradach plenarnych Zjazdu czy KC. Sprawa w przekonaniu, że kultura nie może być przedmiotem zainteresowania tylko środowisk kulturalnych, ale musi być przedmiotem zainteresowania wszystkich, całego społeczeństwa. I taki stan świadomości trzeba osiągnąć.

Środowiska kultury muszą wyciągnąć wnioski z przebiegu dyskusji przed Zjazdem, na Zjeździe i po Zjeździe. Wynikła ona ze słabości tych środowisk, z ich rozproszenia, zamykania się we własnych, bardzo wąskich kregach. Trzeba więc wyjść z tej izolacji. Do tej pory gwarancją udziału środowisk kultury w różnych reprezentacyjnych ciałach był odrzucony „klucz”, czyli mówiąc inaczej „rozdzielnik”, albo jeszcze inaczej mianowanie reprezentantów. Zasady demokracji, którą z trudem wprowadzamy w życie, zmuszają do walki o miejsca w różnych ciałach reprezentacyjnych, wybieralnych i tak dalej. A w walce albo się wygrywa, albo przegrywa. Trzeba więc nauczyć się wygrywania.

Co zatem robić?

Myślę, że przede wszystkim warto jeszcze raz w gronie delegatów Konferencji Środowiska Kultury zastanowić się nad koniecznością powołania Komitetu Środowiskowego Kultury partii, nawet, gdyby ten komitet miał tylko przez pewien okres działać i miał tylko odegrać rolę in-

tegracyjną w środowisku kulturalnym Łodzi. Poglądy na ten temat są podzielone, są one po prostu wyrazem podziałów, jakie w środowisku istnieją.

Krakowska „Kuźnica” w zjezdowym wydaniu „Zadania” (tom 3 nr 15 z 1981 r.) opublikowała „Tezy „Kuźnicy” o polityce kulturalnej partii i państwa”. W „Tezach” tych stwierdza się między innymi:

„Polityka kulturalna w partii powinna kształtować się oddolnie, poprzez podstawowe i zakładowe organizacje partyjne do wyższych instancji, które na tej podstawie powinny budować ideowy program rozwoju kultury socjalistycznej. Należy także wspierać rozwój klubów, stowarzyszeń i tym podobnych form poziomej organizacji twórców i działaczy kultury, których działalność w dziedzinie tworzenia nowych wartości kulturowych i ideowych, działalność opiniotwórczą, dialog wewnętrzny i dialog ze środowiskiem pozapartyjnym, działalność programującą, powinny być podstawowym, oprócz partyjnych organizacji podstawowych, czynnikiem określającym program polityki kulturalnej.”

Jest to diabelnie trudne, ale jedyne wyjście. Samo się to nie robi.

Nie są to wszystkie sprawy związane z niezbędnymi zmianami w świadomości społecznej na temat rozwoju kultury. Jest ich znacznie więcej, bo sprawa nie jest łatwa i prosta. Ale o innych sprawach może już innym razem.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

(jedni twierdzili, że to częstochowska, a inni że ostrobramska) i kwiaty. Kwiaty zapamiętałem bardziej, bo portrety pełniły rolę tarczy ochronnej, a kwiaty były dowodem ludzkiego odczucia. Stałem przed tą bramą i patrzyłem. Znalazłem się na granicy innego świata.

P. HALBERSZTAT: To było na początku strajku, kiedy zaczynał się tworzyć MKS Stoczniovecy zgromadzi się przed gmachem dyrekcji. Waleś, stojąc na akumulatorowym wózku, krzycał przez tubę: „Panie dyrektorze, dajemy piętnaście minut na decyzję. Potem wchodzimy i aresztujemy pana”. Dyrektor siedział w gabinecie, a on go wołał, żeby poszedł do okna. Po pewnym czasie pokazał się zastępca dyrektora i powiedział: „Tak rozmawiać nie będziemy. Niech przyjdzie do nas delegacja”. Nastąpiły idiotyczne przekazy, idiotyczne, bo prowokujące wobec tłumy. Minęło 15 minut, dyrektor nie pokazał się. I radiowęzła nie udostępniono. Nagle, ktoś w tłumie rzucił hasło: „Siadamy tyłem do dyrekcji!” I wszyscy zaczęli się odwracać. Myślny ten moment zdążyli sfilmować i on jest na kronice filmowej. Robotnicy rozsiedli się na ziemi, a Waleśa poszedł do dyrektora. Nie było go parę minut. Robotnicy zaczęli się niepokoić: „Jdźmy po niego. Co się z Leszkiem stało”. Wyszedł w końcu, wyraźnie zalamany. Wziął do rąk tubę i powiedział: „Nie aresztowałem pana Gniecha. Po prostu nie jestem w stanie tego zrobić. Psychicznie nie jestem w stanie poradzić sobie z tym problemem”. Powiedział także, że powinien odejść, bo nie nadaje się na przywódcę strajku, że jego tyle razy aresztowano i że on wie doskonale, jak to się robi, ale że nie potrafi zrobić tego drugiemu człowiekowi. Kawał życia w tym było. Ja parę rzeczy wtedy zrozumiałem. Okazało się, że są sprawy, do których nie jest stworzony, wobec których staje bezsilny — nie mógł wyegzekwować tego, na co wszyscy czekali. To zabawnie i pięknie wyglądało, jak ci wszyscy robotnicy go pocieszała: „Leszek, nie martw się, co się będziesz przejmował byle gównem”. Takie pocieszenie, jak do dziecka.

I. DRYLL: Największe wrażenie... smutne wrażenie, wstrząsające. W czasie pierwszych dni strajku rzucano z helikoptera ulotki z przemówieniem Gierka. W pobliżu budynku, gdzie mieścił się MKS była otwarta przestrzeń — maleńkie pole. Ludzie biegli przez tę łakę. Podnosili je z ziemi, czytali, a później śmiali się. To znaczy mówili: „Eh... — z gestem zniechęcenia. Znaczący że to był koniec. Że to nie trafigało. Że władza nie miała już wspólnego języka. Zwalazcza, że ulotki strajkowe miały niezwykle powodzenie, były rozchwytywane, jak... kawałek chleba.

J. SUSZNAKÓWNA: Po terenie Stoczni robotnicy obwołali mnie akumulatorowym wózkiem. Kiedy przejeżdżał koło bramy wejściowej, to oni powiedzieli, że brama, która jest w filmie „Człowiek z marmuru”, to nie jest ta, przy której rzeczywiście zginęli robotnicy Autentyczna, że wychodziła na zdjęcia ze względu na techniczne. Byliśmy teraz przy autentycznej. Pokazali, gdzie stali robotnicy gdzie wojsko. Mówili: „Mur cały był postrzelany, dlatego go rozebrano, potem zrobiono sztachetki, a na końcu to wszystko zamalowano”. Pragnęłam całą ich relację skrupulatnie zanotować i napisać: „Ślady kół” — kul przez „G”. Uprzytomniłam sobie, że tu jest jakiś fałsz i mówię: „Mnie się chciało napisać „Jerol” i tak poprawiłam. Byłam w takim stanie napięcia, że nie mogłam się uspokoić. Oni to zauważyli. Jeden z nich patrzył w mój notes i oczy robiła mu się duże. Nie wiedziałam, jak z tej sytuacji wybrnąć i zamazałam to słowo. Zaczęli opowiadać, że podczas strajku dzieje się z nimi to samo. Że idą gdzieś i sami nie wiedzą po co. Zapomniała, jak mają na imię ich najbliżsi rodacy. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, w jakim są napięciu psychicznym.

J. SURDYKOWSKI: Ja to nawet opisałam, ale nie do końca. Bo zadziła mi pióra. Na jednym z wydziałów Stoczni odbywało się zebranie. Brał w nim udział delegat na poprzedni zjazd partii. Wrócił z urlopu i przystąpił się do strajku. Nie mógł w domu usiedzieć spokojnie. Teraz na zebraniu zaczął na niego naskakiwać. Pytał: „Jakiście rządzą? Jak mogłeś to tolerować?” Tu maczyli, że był w wielu komisjach, że dawał mu różne dokumenty, przygotowywane przez docentów, profesorów — to jak on, skromny robotnik miał się ich czeplić? Zrobili mu straszne pranie mózgu. Pytają w końcu, czy popiera wszystkie postulaty łącznie z wolnymi związkami zawodowymi. Odpowiedział: „Tak, łącznie z wolnymi związkami zawodowymi”. I w tym momencie coś w nim pękło, powiedział, że on zawsze wierzył w Boga że zawsze był wierzącym katolikiem. Tego nie napisałam bo człowiek mówi pewne rzeczy pod wpływem stresu nerwowego.

W. GIELZYŃSKI: Waleśa wielo-

krotnie podkreślał: „Kochani, jeżeli tu wejść, jeżeli będą chcieli wziąć nas siłą, nie wolno nikomu stawiać oporu. Wszyscy siadamy i trzymamy się za ręce. Niech nas wynoszą, niech nas zamykają, niech nas biją, nikomu nie wolno oddać”. I taka była strategia na wypadek wejścia sił porządkowych. Żadnych innych poleceń. Czarne myśli chodziły nam jednak po głowach. Jeden z pamiętających rok 1970, mówił: „Gdyby się zaczęło, to statki, co stoją na chylkach będą się staczały do morza i tonęły. Dźwigi portowe będą padały na wchodzących, a butle z tlenem zaczęły wybuchnąć od przypadkowych iskier. Będą waliły się hale i ginęli ludzie. A ci, co są złodzie-



GDĄŃSK 80

jami, będą pierwsi ochraniać mienie publiczne, a zagorzą ormovery broni klasy robotniczej, a najwięksi tchórze zostaną największymi bohaterami”. Taka wizja Apokalipsy. To pytanie ciągle nad nami wisiało: Wejść, nie wejść.

R. KAPUSCIŃSKI: Ołbrzymie wrażenie robił widok morza w nocy. Poprzez ułomowane dźwigi portowych żuraw widać było światła dziesiątków statków, oczekujących na wejście do portu. Widok ten rozpościł się załedwie o kilkadziesiąt metrów od sali, gdzie siedzieliśmy, centralnego miejsca w całym wydarzeniu. Ten prześwit na zatokę ze stojącymi statkami dawał poczucie ogromnej siły, jaką miał strajk. To stała przecież ułomowana cała Polska.

B. TUREK: Nigdy nie zapomnę twarzy robotników, przyklejonych do szyb, za którymi obradował MKS. Twarzy przemęczonych, nieogolonych, brudnych, wpatrujących się z nadzieją że wszystko skończy się dla nich pomyślnie. I to jeden z nich powiedział mi o pierwszym, nieformalnym spotkaniu Jagielskiego z przedstawicielami MKS. Ono odbyło się w nocy, w willi w Sopocie. Pojechałem tam z kolegą z Ansy. Po godzinie otworzyli się drzwi i Jagielski zaprosił nas do środka. W zasadzie to tam decydowała się sprawa „Solidarności”. To była wielka rzecz dla naszej agencji, bo jeszcze nikt tego nie miał. Jak samochód dojeżdżał do bramy stoczni, to oni już wychylali głowy i krzykali: „Zwycięstwo! Zwycięstwo!”

A. DRZYCIMSKI: Miałem możliwość obserwowania pierwszego wjazdu komisji rządowej na teren Stoczni, przez bramę nr 2. To była najważniejsza brama. Tu wyrzucano ulotki, nadawano komunikaty, odwiedzano strajkujących, odprawiano msze święte. Ten wielki stojący tam ciągle tłum, już wie, że przyjdzie Jagielski. Wszyscy czekają. Nadjeżdża w końcu autokar. Ledwie zdążyło uchylić jedno skrzydło bramy. Pojazd przeciska się i chce przemknąć dalej. Ale sznur trzymających się za ręce robotników zatrzymuje go. Zaczynają pięściami walić po blachach, krzycząc, że do robotników trzeba iść piezo. Stałem jakis dwa metry od drzwi. Jeden z robotników otworzył je na całą szerokość i krzyknął: „Wystać!” To był przejmujący obraz. Jagielski wysiadł zupełnie błąd, przed nim stał milczący, zacięty tłum. W tym momencie przywitał go Waleśa i rozpoczęło się potwornie głośne skandowanie: „Leszek! Leszek! Leszek!” Nie było żadnych innych okrzyków. Tylko zaciśnięte, wzniesione do góry pięści i rozwarte palce w kształcie litery V. W tej atmosferze delegacja rządowa przechodziła przez rozsuwalący się przed nią tłum.

T. KNADE: Ktoś powiedział, że to była krzyżowa droga wicepremiera **A. DRZYCIMSKI:** Bieglem zarez za delegacją. Przed wejściem do budynku nastąpił moment najbardziej dramatyczny. Kiedy Waleśa z Jagielskim znaleźli się już w środku, tłum fotoreporterów rzucił się za nimi i oddał drogę pozostałym członkom delegacji. Konsternacja. Wydało się, że ci przemęczeni udrecone ludzie, którzy czekali tyle dni, zaczęli teraz zachowywać się agresywnie. Byli sami, bez swoich przywódców. Ale nagle ktoś ze służby porządkowej donośnym głosem krzyknął: „Przejdźcie dla delegacji rządowej!” I to podzieliło jak pryzmę zimnej wody. Robotnicy chwycili się za ręce i kilinem odrzucili na bok kłębki się ciągle przy wejściu tłum fotoreporterów. Później już poszło gładko.

P. HALBERSZTAT: Po 10 dniach strajku pojawiła się wreszcie szansa na rozpoczęcie rozmów. Warunek wstępny stocznioveców — odblokowanie połączeń telefonicznych Gdańska z resztą kraju. Jagielski: „Jak to,

przecież ja do was przyjeżdżam i nie sławim żadnych wstępnych warunków? Jak tak można!” Trudny moment. Wszyscy są już bardzo zmęczeni, psychicznie wyczerpani. Czy upieranie się przy swoim ma sens? Czy warto stawiać na jedną kartę, która ma znaczenie bardzo konkretne, ale dotyczy tylko jednej chwili historycznej, która w historii kraju nie będzie miała żadnego znaczenia. Bo jest szansa podjęcia rozmów o znaczeniu dla historii, a nie tylko dla chwili historycznej. Wiele ludzi było przekonanych, że ten warunek trzeba opuścić. Stało na tym, że ogłoszono przerwę. Ze MKS skonsultuje z delegatami, bo jest demokracja. Waleśa zapytał salę: „Czy zaczy-

my. Ale tu jest strajk, to ja w ciągu dnia przedrzemnię ze dwie godziny”. To było, jakby to rzec, no po prostu — takie ładne. Głęboka mądrość tego człowieka. Bo nie o to chodzi, żeby porzucić wszystko, ale realnie pogodzić jedno z drugim. Nie ma powodu, żeby tracić te ogórki dla rodziny. On powiedział, że dla celów wyższych mógłby z nich zrezygnować, ale skoro to celom wyższym nie szkodzi, to dlaczego tracić ogórki?

A. DRZYCIMSKI: Zorganizowano konferencję prasową z prezydium MKS. Nastąpiły wtedy zmiany personalne w Biurze Politycznym Zagraniczni dziennikarze zapytali Waleśę: „Pan tu decyduje o przebiegu

A. ZAJĄCZKOWSKI: Codziennie odbywało się coś w rodzaju „różniaka politycznego”, bez obecności kapłanów. Po prostu zbierali się robotnicy i wspólnie odmawiali litanie do Matki Boskiej, w aktualnych intencjach: żeby ich rodziny wytrzymały ten trudny okres izolacji, żeby mieli wytrwałość wytrwać do końca, żeby mądrość towarzyszyła rządzącym.

W. GIELZYŃSKI: Ulica prowadząca w głąb stoczni. Otwiera się brama i na szeroka, asfaltowa droga wjeżdża samochód. Księża wyjmują z niego dwa proste krzesła. I to jest konfesyjonał. Pochodzą robotnicy, w kombinizonach, kaskach i kłękają. Przez swoją prostotę i antentym robiło to olbrzymie wrażenie.

P. HALBERSZTAT: Spowiedź. Ta rzecz, niezwykle intymna, odbywała się w tłumie ludzi. Mam takie doświadczenie, kiedy jeden ze stocznioveców doświadczenie wtula się w ramię spowiadającego.

W. GIELZYŃSKI: Potem msza święta. Roznoszenie komunii. A w chwilach największych napięć w momentach lęku, ostatnie namaszczenie. Ksiądz intonuje wyznanie wiary. „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego...” a jednocześnie, przez włączony megafon, słychać nadawane komunikaty: „Ostrów Wielkopolski jest z nami”, „Stworzycielu nieba i ziemi...”, „Złożyliśmy na wasze konto 80315 zł” — „I Chrystusa, Syna Jego, jedynego...” Jak to się opowiada, to jest to groteska ale jak się tam było, to to wcale nie była groteska, to było coś przejmującego.

A. ZAJĄCZKOWSKI: Ja nie jestem człowiekiem wierzącym, ale było dla mnie ważne, że mogłem uczestniczyć w mszy św. W istniejącym tam ciągle napięciu i zagrożeniu msza dawała chwilę spokoju, chwilę kontemplacji, poczucie bezpieczeństwa. Te kilka tysięcy ludzi, stojących ramie przy ramieniu, integrowało się w poczucie duchowej wspólnoty.

Z. GACH: Najwięcej przeżyć dostarczyły mi piątek i sobota (29 i 30 sierpnia). Dzisiaj wiadomo, że było to już na kilkadziesiąt godzin przed podpisaniem porozumienia, ale wtedy nie wiadomo było jeszcze nic. Od południa, chłopcy z radiowęzła zaczęli puszczać przez stoczniovecy megafony pieśni w wykonaniu „Mazowsza”. Więc najpierw: „Góralu, czy ci nie żal”, „Hej, tam pod lasem”, „Ja pójdę górą”, „Jak to miło w wieczór bywa”, a później: „Umarł Maciek, umarł”, „Poszedł Marek na jarmarek”, „Siekiera, motyka”, „Wszystkie rybki”. Ludzie ze strajku nie mogą wyjść ze spuszczonej łbami.

Z. NIEMCEWICZ: Dużym przeżyciem był ostatni dzień strajku — 31 sierpnia. Na bramę wejściową do stoczni napierał olbrzymi tłum. Byłem przerażony. W żadnym sposób nie mogłem się dopchnąć do wejścia. Wyciągnąłem swoją legitymację prasową, ale to w niczym nie pomogło. Nagle, słyszę z tyłu jak krzyczy do mnie jakiś facet: „Weź pan ten papier!”. Odwracam głowę, a on wyciąga z torby trzy ciężkie ryzy. Biorę to i taszcze za nim. Ale przy wejściu zatrzymuje nas straż porządkowa. Krzyczę do mojego przezwodnika: „Panie, co ja mam z tym zrobić?” A on do strażi: „Co to, dla delegatów przejdzie nie ma?” I, lubydu, dawaj rozpychać się lokciami. Wparowałem w nim, taszcząc ten papier. Udało się, byłem w środku. W ten sposób zostałem osobą wspomagającą strajk.

B. BIEGAŃSKI: Najcięższą pracą dla fotoreportera był moment zakończenia rozmów. Do sali konferencyjnej wszedł Waleśa i delegacja rządowa. Dzięki tabun moich kolegów po fachu otaczał stół przydany. Kazali nam kucnąć bo przesłaniałismy głównych bohaterów. Jedni siedzieli na drustach Koszulę i spądnie miałem zupełnie mokre — było nieprzytomnie duszno. No, i napięcie, żeby jednak mieć zdjęcie. Szwedzi, Niemcy, Francuzi, Amerykanie — każdy bez pardonu szarżował z aparatem. Dla nich każde dobre zdjęcie to kupa pieniędzy. Jakikolwiek odeszcie z tego miejsca groziło jego utratą. Przy tym kotle niezwykle wzruszenia: Boże, kończy się sprawa... Kończy się tak wspaniale... Po podpisaniu porozumienia wyszedłem na dziedziniec kompletnie mokry, tak, jak bym wyszedł z wanny. Trzeba było teraz pobiec do bramy, sfotografować wyjście robotników, wyjście Waleśy. Tego dnia zostałem jeszcze długo na terenie stoczni.

Wróciłem ponownie do pustej sali konferencyjnej. Nie wiem, dlaczego? Może spodziewałem się czegoś ciekawego? Może żal było opuścić to miejsce?

J. HALBERSZTAT: Niezależnie od tego, jak to się mogło skończyć, nie opuszczała mnie świadomość, że biorę udział w Historii że ona dzieje się na moich oczach. To jest wspaniałe uczucie, którego nie jest w stanie zastąpić. To był jeden z nielicznych momentów, w moim życiu, kiedy stwierdziłem, że jest to... dar od Boga, że mogłem tam być.

Opracował:
MAREK MILLER

namy?” Sala odpowiedziała chórem: „Nie!” Po pewnym czasie MKS zwołał konferencję prasową. Prowadził ją Lech Bądkowski. Myślny to filmowali. W pewnym momencie dyskusji podchodzi do mnie jeden z członków komitetu strajkowego i mówi szeptem ze łzami w oczach: „Przed chwilą odblokowali telefon”. To ja: „Pan! Niech pan to szybko powie!” On: „Już dobrze, już przekazałem kartkę”. I faktycznie, przeczytano to przez mikrofon. To był niezwykle ważny moment. Spadła wszystkim cegła z serca.

A. DRZYCIMSKI: Nastąpiły pierwsze dramatyczne rozmowy i pierwsze wybuchy entuzjazmu. Cieszyli się jak dzieci. Cieszyli, że to już koniec strajku, że już jutro pójdą do domu, do roboty, że nareszcie... Przecież to był już dziesiąty dzień strajku. Nie wiedzieli, że to był dopiero dziesiąty dzień.

wydarzeń, sześć głów poleciało przez pana. I co dalej?” A on mówi: „Czekam na następne”. I w tym momencie się zreflektował — był późny wieczór, zmęczenie. Zreflektował się, że przekroczył dopuszczalne w tej napiętej sytuacji granice i mówi: „Panowie, ja tego nie powiedziałem — proszę to wykreślić!”

L. STEFAŃSKI: Urokliwie było podwędzić komus ulotkę. Bo one były w wysokiej cenie. Każdy chciał mieć coś na pamiątkę. Na trawniku siedział robotnik i czytał ostatni numer „Solidarności”. Przeczytał i położył obok. Ja to widziałem i, oczywiście, jak każdy kto by to zobaczył, natychmiast zacząłem kombinować. Facet wstał, ale pilnował jak dobry strażnik. W pewnym momencie spotkał się wzrokiem. „Dobry jest?” — powiedział — możesz sobie wziąć. Tylko potem usadź z powrotem!”

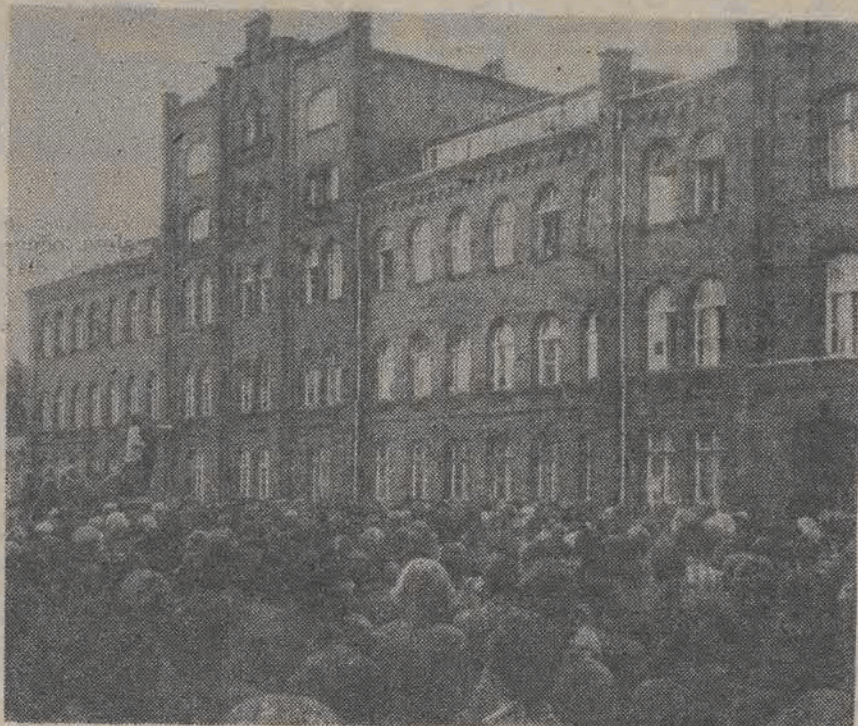


Foto: Zbigniew Trybek

J. SUSZNAKÓWNA: W Stoczni zaprzyjaźniłam się z kilkoma robotnikami. Bardzo dużo rozmawiałam: problemy zawodowe, społeczne, polityczne — we wszystkich możliwych aspektach. Aż w końcu jeden z nich pokazał mi książeczkę, z której wynikało, że on sprzedaje krew. Po raz pierwszy poszedł do stacji krwiodawstwa jako młody chłopak kiedy zabrakło mu pieniędzy. No, a potem ślub, dwoje dzieci, więc od czasu do czasu znów tam zaglądał. W ten sposób, jak powiedział, sprzedał już całą swoją krew trzykrotnie. To było mówione w tonie spokojnym, bez żadnych dramatów. On powiedział, że nie większego w życiu nie skombinował normalnie pracował, a kiedy mu zabrakło całkiem pieniędzy: no to mógł jeszcze tylko sprzedać krew. I sprzedawał. Nie narzekał na swój stan posiadania. Ma żonę, dwoje dzieci, mieszkanie, mają co jeść, wszystko jest w porządku. Taki właśnie przeciętny standard człowieka. A ta krew to tylko komentarz do mitycznych zarobków stocznioveców. Później zwierzył się, że ma kłopot, bo jeszcze przed strajkiem umówił się z chłopem na wsi, że przyjedzie po ogórki, żeby je zawekować na zime. Tymczasem on tu siedzą, a ogórki mogą „przejrzeć” i co tu robić? Spotkał się z następnego dnia, po południu i on mówi: „Wie pani, co? Wczoraj wieczorem wziąłem z kolega przepustkę. Pojechaliśmy na wieś. Przez noc zawekowałem sto słoików. Sto sto słoików ogórków. O piątą raną byliśmy już z powrotem w Stoczni. W ogóle nie spali-

B. TUREK: W drzwiach sali obrad trzymał bramkę pan Mazur, sekretarz Waleśy. On miał fantastycznego nosa, kiedy obstawiał rozmowy z komisją rządową. Ja zawsze podchodziłem do niego i pytałem: „Czy pan wierzy, że oni dzisiaj przyjadą?” — „Nie, dzisiaj nie przyjadą”. — I zawsze zgadywał.

Z. GACH: W poniedziałek, 13 sierpnia, Andrzej Gwiazda ogłosił około godziny 21: „Kochani, mamy już pięćdziesiąt”. Nazajutrz rozpoczęło wydawanie ostemplowanych przepustek, bez których wstęp na salę obrad stał się niemożliwy. Przeglądałem strajkowe notatki:

— Delegaci zakładów elektronicznych „Unimor” przynieśli zebrane przez pracowników pieniądze. Nie są z partii i nie są ze związków zawodowych. Podkreślają, bo dyrekcja nie dała im samochodu.

— Lech Waleśa i Henryka Krzywonos mają ochrypnięte gardła. Prawie nie mogą mówić.

— Jest już faworyzowanie: oranzada, której mało, przysługuje tylko członkom Prezydium.

— W męskim WC leży brudnopis postulatów.

R. KAPUSCIŃSKI: To były dni nieustających wzruszeń. Przyszedł do stoczni starszyzna. Przynieśli kilkadziesiąt tysięcy złotych. Odkładał je na grabowiec dla swojej żony i siebie, teraz oddał je strajkującym.

B. KOSIŃSKI: Od czasów partyzantki nigdy nie śpiewałem: „Marsz, marsz Polonia”. Teraz, podczas występów Teatru „Wybrzeże” śpiewała to cała sala. I ja też śpiewałem, po tyłu, tyłu latami.

Dalszy ciąg ze str. 1

szedłszy do władzy, bardzo szybko poszli jej śladami zapominając istotę tragicznego scenariusza.

Trudno jest oczywiście streszczać książkę będącą — jako się rzekło — na swój sposób dokumentem historycznym. Tym bardziej gdy się zważy, że przez całe dziesięć lat temat ten należał do tabu. Same bowiem wydarzenia Grudnia 1970 roku, rozliczone po polsku na VIII Plenum w lutym 1971 roku, nie należały ostatecznie do tematów, którymi należało się chwalić. Po prostu uznano, że trzeba przejść nad tym do porządku dziennego, skoro się go rozliczyło w werbalnej dyskusji wewnątrzpartyjnej na najwyższym szczeblu i poparło odpowiednimi ocenami. Ostatecznie nie należy rozstrząsać ran, a im szybciej przestanie się o tym mówić i pisać, tym szybciej zapomni o tym społeczeństwo. Zresztą jakąż władzą, najbardziej nawet liberalną, lubi przejmować władzę z balastem przelanej krwi, nawet jeśli dokonała tego poprzednika, z którą jednak przez lata jechało się wspólnie na tym samym wózku? W tej sytuacji rozliczać poprzednika, to również rozliczać siebie. Oczywiście wszystko można zrzucić na przegranych, poza jednym — poza moralną odpowiedzialnością, iż widząc to wszystko nie reagowało się wcześniej. I nieważne są motywy i usprawiedliwienia — dlaczego? W historii mimo wszystko liczą się fakty i postawy.

Właściwie „Przesilenie grudniowe” stanowi analizę klęski jednostki sprawującej w naszym kraju funkcję najważniejszą, jaką jest stanowisko I sekretarza Komitetu Centralnego. Klęski spowodowanej narastającą izolacją pełniącą tę funkcję zarówno od szeregowych członków partii jak i całego narodu. A pamiętać przecież należy, że I sekretarz KC „z wyboru” jest przywódcą partii, przywódcą narodu stając się wówczas, gdy jego poglądy i koncepcje dotyczące rozwoju kraju, szczególnie i pomysły obywateli są zgodne z ich odczuciami i dążeniami.

Kiedy Władysław Gomułka powracał do władzy w dniach października 1956 roku, zaledwie w kilka miesięcy po tragicznych wydarzeniach poznańskich, miał za sobą cały naród. Wierzone wówczas w każde jego słowo. Z miejsca też obdarzonego największym zaufaniem. Wierzone, iż pamiętając własne kryzysy, więziennie cierpienia i upokorzenia z lat błędów i wypaczeń, zrobi wszystko, aby nigdy więcej autorytet władzy nie był budowany na represjach i przemocy, codziennej podejrzliwości wobec zwykłych obywateli tego kraju. Wierzone nie tylko w jego moralną uczciwość, ale również i polityczną mądrość. Wierzone, iż wyprowadzi naród zarówno z gospo-

darczego jak i moralnego kryzysu spowodowanego demaskacją wszystkich zła, jakie przyniosła ze sobą epoka kultu jednostki.

Jak długo trwała tu euforia, a z tym również związana wiara w tego nowego, w jakimś sensie z woli ludu wybranego, przywódcę? Trudno jest nam to dziś orzekać. Rozczarowanie następowało bowiem powoli, w miarę upływu lat, kiedy coraz bardziej osoba pierwszego stawała się symbolem podejmowanych niesłusznych decyzji zarówno politycznych jak i gospodarczych. I oto w momencie, kiedy właśnie ten człowiek, wydawać by się mogło, że u szczytu swoich politycznych sukcesów na arenie międzynarodowej, ukoronowanych 7 grudnia 1970 roku podpisaniem Układu o podstawach normalizacji stosunków pomiędzy Polską i RFN, przywódca ten nagle z dnia na dzień musiał odejść w blasku pełnej nieszawy i nienawiści społeczeństwa, które jeszcze do niedawna bez żadnego przymusu skandowało przy każdej okazji: Włesław, Włesław, Włesław.

Musiał odejść, bo firmował swoją osobą rzecz niesłychanie niepopularną — podwyżkę cen na artykuły żywnościowe. Ale to była tylko przysłowiowa ostatnia kropka, która przełamała społeczny kielich goryczy. Jako iż jak słusznie zauważał w swojej pogrudniowej analizie jego następcę, Edwarda Gierka: „Jest rzeczą oczywistą, że źródło kryzysu grudniowego nie można zaprzeczać jedynie w rozgoryczeniu spowodowanym podwyżką cen i sposobem jej przeprowadzenia. Kryzys narastał od szeregu lat i miał głębsze przyczyny”.

Tylko że o nich później oficjalnie mówiono zdawkowo, a społeczeństwo dowiadywało się z komunikatów informacyjnych o zmianach personalnych dokonanych w Biurze Politycznym oraz w KC. Wciąż otwarty zostawał problem samych wydarzeń w Gdańsku i Szczecinie, tych kilku przedświątecznych dni, które zdecydowały o ogólnonarodowej tragedii.

Nie ma chyba potrzeby przypominania samego scenariusza tych gdańskich grudniowych wydarzeń. Zresztą Rakowski relacjonując go w swej książce czyni to groli historycznej ścisłości, aby ukazać, jak w późniejszym okresie rozliczania na VIII Plenum osób bezpośrednio zaś odpowiedzialnych, fakty te interpretowano. I właśnie ta interpretacja faktów stanowi istotę książki. Jako że ta interpretacja stanowić miała naukę na przyszłość, miała leć u podstaw wewnętrznej polityki nowego przywódcy i jego ekipy. To właśnie na owym słynnym Plenum stwierdzano, iż nigdy więcej nie może się powtórzyć kryzys zaufania wobec partii wobec jej przywódcy. I myślę, że wszyscy uczestnicy tego Plenum

NIEUSTAJĄCA LEKCJA HISTORII

głęboko w to wierzyli. Tak samo zresztą jak i cały naród, który domagając się ukarania winnych, równocześnie zapewniał nowego pierwszego sekretarza na jego apel „Pomożecie” — „Pomożemy”. I nie był to bynajmniej z obu stron czyści slogan.

Wynika to może z potrzeby wiary, na której przecież zawsze budują swoją popularność przywódcy. Tylko że jak uczy praktyka — jakże bolesna w swej istocie — dzieje się to zawsze u początku rządzenia. Potem wszystko zostaje gdzieś zaprzeczane, przekreślone. Przywódca otacza się garstką ludzi niby to zaufanych, którzy szczególnie dbają o to, aby nie wszystko docierało do przywódcy, co mogłoby w jakikolwiek sposób psuć jego dobry humor i poczucie bycia ojcem narodu. Taka postawa otoczenia prowadzić musi w konsekwencji do kolejnego konfliktu władza — społeczeństwo, do kolejnej przegranej, wręcz do katastrofy. I kolejny przywódca odchodzi nie w sposób naturalny, ale gwałtowny, zienawidzony przez wszystkich, obarczony wszystkimi złem, którego nie we wszystkich jest autorem. Jakże często zresztą autentyczny przywódca staje się nagle zwykłym pionkiem w rękach jego najbliższego otoczenia, które dba o własne stolki, interesy i przywileje, nie jest w stanie na obiektywną ocenę nieraz tragicznych w skutkach posunięć tego przywódcy.

Tak się przecież stało w przypadku Gomułki, ten sam scenariusz powtórzył się równo w dziesięć lat później po wydarzeniach w tym samym Gdańsku. A przecież podobno historia nie lubi się powtarzać.

II

Rakowski jest publicystą, a nie historykiem. Ważne to o tyle, że mimo wszystko inną perspektywę przyjmuje publicysta, który sięgając po przeszłość szuka w niej analogii do dnia dzisiejszego. Tak też jest w przypadku relacji Rakowskiego z przesilenia grudniowego. I mimo że nieustannie stara się znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytanie, dia-

czego musiało dojść do tragedii grudniowej i wszystkich tego późniejszych konsekwencji, to równocześnie nurtuje go już pytanie, a jak będzie z następną ekipą władzy. Tym bardziej, że pisał przecież tę książkę w samym centrum „oka cyklonu”, i te dwa lata opóźnienia w wydaniu pozwoliły na dopisanie przez tworzącą się historię scenariusza kolejnego kryzysu. Tylko że ten trzeci kryzys w dziejach powojennych naszego kraju potwierdził jedynie słuszność publicystycznej oceny prawidłowości między władzą a społeczeństwem, występowania określonych sytuacji, rodzenia się i narastania konfliktu które rodzą istotę konfliktu.

Stąd nie dziwny się, że Rakowski próbuje poprzez życiorysy trzech kolejnych przywódców naszej partii: Bolesława Bierut, Władysława Gomułki i Edwarda Gierka (jako że Edward Ochab nazbyt krótko sprawował władzę), ukazać jak predyspozycje osobiste z uwarunkowaniami zewnętrznymi determinowały kolejne dramaty władzy. Jakby bowiem nie patrzeć na poszczególne osoby dramatu, każda z nich była na swój sposób indywidualnością wyniesioną przez historię, ale i przez tę historię zniszczoną. Inna sprawa, że jeszcze będzie musiało sporo czasu upłynąć, aby każda z nich doczekała się nie doraźnej, publicystycznej oceny wartościującej, ale ścisłej historycznej, w której ukazane będą w miarę obiektywnie wszystkie aktywa i pasywa. Jednakże „interesującym przyczynkiem do dziejów socjalizmu w Polsce może być fakt, iż każdy z tej czwórki (włączając w to Ochabę u.m.) obejmował stanowisko I sekretarza w mniej lub bardziej dramatycznej sytuacji. Władysław Gomułka został sekretarzem generalnym KC PPR po aresztowaniu jego poprzednika Pawła Findera. Powrócił do władzy w warunkach ostrego kryzysu politycznego, jaki zaczął się rozrzucać w Polsce po wypadkach poznańskich. Bolesław Bierut objął stanowisko sekretarza generalnego w momencie głębokiego kryzysu w PPR, który został spowodowany przez oskarżenie Władysława Gomułki i jego przyjaciół politycznych o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Edward Ochab został przywódcą PZPR w wyniku niespodziewanej śmierci Bolesława Bieruta. Edward Gierek objął najwyższą funkcję w partii w momencie najgłębszego kryzysu politycznego, jaki miał miejsce w historii Polski Ludowej”.

Tyle tylko, że odchodził w momencie kolejnego kryzysu politycznego i ekonomicznego, jakiego jeszcze wojenne dzieje Polski Ludowej nie znały. Rzecz przy tym charakterystyczna, iż dopiero ostatni kryzys w oczach rządzących poddany został obiektywnej ocenie wartościującej. Jako że kryzys grudniowy w ocenie

Gomułki był protestem, który przybrał tak drastyczną formę „tylko dlatego, że robotnicy w Polsce Ludowej przystępują do strajku i wychodzą na ulicę bez poważniejszych zahamowań, bowiem jest to ich państwo, a więc wiadomo... że odnosi się ono będzie do nich tolerancyjnie”.

Zaiste dziwna to i sofistyczna ocena przeprowadzona nie przez kogo innego, jak przedstawiciela tejże klasy robotniczej. Czyż by było to tylko niezrozumienie istoty problemu? A może po prostu wiara w nieomyślność swoich poczyni, wiara, iż jego poglądy i koncepcje są zgodne z odczuciami i dążeniami? Oczywiście trudno jest na to udzielić jednoznacznej odpowiedzi, tak samo zresztą jak trudno jest do końca odpowiedzieć na pytanie dlaczego musiało dochodzić do kolejnych tragedii narodowych.

Dla nas, dziś czytających tę książkę, wiele do myślenia dają różne przytaczane przez Rakowskiego cytaty z oficjalnych wypowiedzi ludzi nowej ekipy, która doszła do władzy po wydarzeniach grudniowych. Wiele z nich przypomina miłośnikom obywateli. I tylko dla przykładu znowu cytuję z wystąpienia na ówczesnym VIII Plenum Edwarda Gierka: „Historia, towaryszysze, nie szczędziła naszej partii tragedii i kryzysów. I znowu dzisiaj krytykujemy złe metody kierowania i ich nosicieli. Robimy to nie dla obrachunku, ale przede wszystkim z myślą o przyszłości. Nasza partia musi znaleźć sposoby i gwarancje zabezpieczające przed deformacją metod kierowania, przed tendencjami autokratycznymi. Takimi sprawdzonymi w ruchu komunistycznym gwarancjami są przede wszystkim: przestrzeganie zasad i norm statutowych, klimat moralno-polityczny, swoboda zasadniczych dyskusji i odwaga krytyki, właściwy dobór kadr, ich walory ideowo-polityczne, fachowe, moralne i psychiczne”.

A mimo to w 1980 roku historia się powtórzyła. Ta sama historia która podobno powtarzać się nie lubi. Ale stąd może, mimo iż książka ta traktuje o roku 1970 w swoich treściach publicystycznych, odnosi się również i do całokształtu wydarzeń poprzedzających wydarzenia sierpniowe. W ten sposób dokonaj Rakowski spisanie nieustającej lekcji historii, która będąc już przeszłością kształtuje nieustannie nasz dzień dzisiejszy.

**TADEUSZ
J. ŻÓŁCIŃSKI**

Mieczysław F. Rakowski: Przesilenie grudniowe. Przyczynki do dziejów najnowszych. PIW. Warszawa 1981, s. 207.

Dalszy ciąg ze str. 1

wieć, wbrew temu, co się przypuszcza, tylko ruchy pozorowane. Są to ruchy wymuszone. Innych, bez jakichś męskich decyzji, nie można po prostu zrobić.

Zmora naszej gospodarki jest także przeinwestowanie.

Ogromny potencjał produkcyjny nie może być wykorzystany z powodu braku surowców i elementów kooperacyjnych sprowadzanych za ciężkie dewizy. Nowoczesnemu parkowi maszynowemu grozi zużycie moralne. Zużycie techniczne także już częściowo nastąpiło i część drogiego urządzeń stoi bezużytecznie z braku jakichś drobniaków.

Niestety, na tym plagi się nie kończą. Wznosząc budowle zapomnieliśmy o fundamentach. Podstawą wszystkich naszych kalkulacji powinien być bilans paliwowo-energetyczny. Tymczasem przemysł produkujący energię został przez nas szczególnie zaniedbany pozostaje w stosunku do innych dziedzin w chronicznym niedorozwoju. Najwięcej tu obiektów rozpoczętych i niedokończonych, wymagających największych nakładów finansowych, aby już wyłożone środki zaczęły wreszcie przynosić owoce. Chodzi o nakłady bezpośrednie, bo nieporównywalnie więcej przychodzi nam płacić za utratę nieosiągniętych korzyści.

Obok tego istnieją dodatkowe sprzeczności na skutek wadliwej struktury całej gospodarki, w której od lat zawadza powiązania kooperacyjne. Chaos w dziedzinie współpracy produkcyjnej spotęgowany został wadliwą strukturą cen, w tym cen detalicznych wzmagających inflację, która świadczy o ogromnej nadwyżce siły nabywczej nad podażą towarów i usług.

Są to słabości podstawowe, stanowiące jakby filary dzisiejszej sytuacji kryzysowej. Trzeba wszakże pamiętać, że w równym stopniu dokucza nam szereg innych dotkliwych dysbalansów. Skąd wziąć środki na dokończenie rozpoczętych

inwestycji, z których przynajmniej część rzeczywiście mogłaby się przyczynić do złagodzenia dzisiejszego kryzysu? Rolnictwo woła nadaremnie o obiektywnie środki produkcji, intelektualni i nauczyciele nawołują o papier, bez którego zagrożona będzie nasza kultura i oświata. Wołania rozlegają się zewsząd. A jednocześnie w wielu dziedzinach gospodarki grozi nam ograniczenie zatrudnienia zrozumieliśmy przy niedoborach surowcowych i energetycznych, przy ciągłych przesłojach maszyn, przy rwanej produkcji.

Ta sytuacja odczuwalna jest przez wszystkich. Zmora naszego życia ostatnich miesięcy stała się dotkliwym niedobór dóbr konsumpcyjnych przy czym nie chodzi tu o towary wyszukane, obliczone na zaspokojenie specyficznych gustów. Brakuje po prostu polskiego mydła, proszku do prania, pasty do zębów, papierosów. Reglamentacja, bez pełnego zresztą pokrycia drastycznie ograniczonego zapotrzebowania, obejmuje coraz więcej dziedzin. Raport dostrzega te zjawiska, przynajmniej nawet, że rynek jest już dość znacznie ogolony. Szkoda jednak, że jest pobłażliwy dla niedowładu organizacyjnego, wspomagać mniemownie tych niendaczków z centralnego aparatu gospodarczego, którzy postanowili zły dla siebie okres po prostu przeczekać. Raport stwarza im wygodne alibi stwierdzając:

„Głębiej przemysłowe przygotowane do wytwarzania dóbr inwestycyjnych nie mogą się przestawić w krótkim czasie na produkcję dóbr konsumpcyjnych lub towarów, które można by bez strat wyeksportować”.

Jest to niebezpieczny dogmat wymagający zdecydowanego zwalczania. I mamy prawo wymagać od rządu tego. Jeśli nie pomagają apele i uchwały, potrzebne są rozkazy. Sytuacja w Polsce przypomina niestety położenie frontowe z nadmiarem dekokowników. Czekanie na lepsze czasy, albo też na to, że ktoś za nas rozwiąże trud-

ności, nie zda się na nic. Całe tły muszą pracować dla frontu, a tym frontem jest właśnie rynek artykułów konsumpcyjnych służących zaspokojeniu podstawowych potrzeb. Ludzie muszą widzieć sens swojej pracy, muszą dostrzec przybywanie towarów na rynku.

Czy zatem wyjście z kryzysu jest możliwe, nawet jeśli nie będzie to proces krótki, z czego dziś chyba wszyscy zdają sobie sprawę? Raport odpowiada na to pytanie twierdząco, cechuje go ostrożny optymizm.

Obecnie znajdujemy się w fazie stałego pogłębiania kryzysu. Pomimo wiedzy o naszej sytuacji zrobiliśmy jeszcze bardzo niewiele, aby się jej przeciwstawić. Więcej tu rzeczy na papierze niż rzeczywistych działań, które przynajmniej zatrzymałyby proces spadania. Nie można liczyć także na to, że wychodzenie z dotkliwej sytuacji jest samoistnie powołane w naszym mechanizmie gospodarczym nie ma czynników samoregulujących. Jednocześnie pole naszych manewrów jest bardzo ograniczone. Przede wszystkim nie możemy już liczyć na kredyty zagraniczne. Ta droga szybko odczuwalnej poprawy jest przed nami zamknięta ze względu na skalę naszego dotychczasowego zadłużenia. Co gorsza, raport tego nie ukrywa, trzeba się liczyć z tym, że nawet odcroczenie spłat zobowiązań, co nie jest wcale takie pewne, nie pozwoli na utrzymanie dotychczasowego poziomu importu ze strefy dolarowej. Trzeba przyjąć, że grożą nam w najbliższych latach dalsze ograniczenia.

Stwarza to dość niewesołe

perspektywy szybkiego przywrócenia, co dopiero mówić o wzroście, aktywności gospodarczej. Nie będzie jej także możliwe osiągnięcie poprzez działalność inwestycyjną. Wspomniałem już, w poprzednim odcinku, że tylko na inwestycje rozpoczęte, które w tej chwili bezużytecznie marnieją, potrzeba blisko 1300 mld złotych. Część z nich trzeba na zawsze spisać na straty.

Raport jest dość sceptyczny, jeśli chodzi o możliwości samoczynnego przemieszczenia siły

(III)

W ROK PO ZAWALE

robotycznej i zasobów materiałowych do tych dziedzin przemysłu, które szybko mogłyby przynosić największe efekty. Jest także pełen wątpliwości, co do samoczynnego i szybkiego przystosowania się struktury produkcji przemysłowej do potrzeb eksportowych, a także potrzeb rynkowych wewnętrznych, zaspokajających równowagę.

Sceptycyzm ten można podzielać, chociaż nie do końca. Dziś bowiem, rzeczywiście nie ma mechanizmów samoregulujących. Gdyby jednak dokonał zapowiadanej reformy gospodarczej, ta sytuacja mogłaby się zmienić.

Główne szanse upatruje raport w naszym rolnictwie pod warunkiem utrwalenia indywidualnej własności chłopskiej i wprowadzenia nowego systemu ekonomiczno-finansowego gospodarstw upośledzonych.

Przyjęcie założenia, że tylko rolnictwo podatne jest na działania mechanizmów samoregulujących, doprowadziło autorów raportu do wniosku, że warunkiem wyjścia z kryzysu jest podjęcie dwukierunkowych działań. Trzeba skierować całą

energii z jednej strony na te odcinki gospodarcze, selektywnie wybrane, które dają największe szanse poprawy, z drugiej zaś na te ogniska, które dziś są najsłabsze stwarzając wąskie gardło i rzutując w ten sposób na całość mechanizmu gospodarczego.

Drugim kierunkiem jest realizowanie reformy gospodarczej. Raport opowiada się za jej sukcesywnym, ale dość szybkim wdrażaniem, tak aby już w 1982 roku można było osiągnąć punkt krytyczny charakteryzujący się głównie tym, że nowe elementy systemu gospodarczego będą wywierały istotny wpływ, będą więc zauważalne gołym okiem.

„Podstawowym wymogiem przy podejmowaniu wszystkich tych działań — stwierdza raport — jest oparcie się na zasadzie prawdziwego partnerstwa ze związkami zawodowymi i innymi organizacjami społecznymi”.

Raport nie przesadza więc modelem reformy, akcentując wszakże samą potrzebę pilnych zmian. Ten unik jest jego słabością, bo nie pozwala ocenić rzeczywistych intencji. Za reformą są przecież dzisiaj wszyscy, nawet jej ukryci, najzagorzalsi wrogowie. Deldaratorywne poparcie nie kosztuje prawie nic, daje natomiast przepustkę do obozu postępu. Cnieloby się od takich autorytetów jak Czesław Bobrowski, Stanisław Albinowski czy Józef Pajestka dowiedzieć czegoś więcej. Nie chodzi przy tym o rozwiązania szczegółowe, ale przynajmniej o zasięg reformy. Chciałoby się także wiedzieć, co myśli na ten temat przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów Henryk Kisiel.

Mał na te pytania w raporcie odpowiedział zaledwie cząstkowo. Autorzy przyznają, że dotychczasowy system nakazowo-rozdzielczy stracił skuteczność. I wybierają Salomonowe wyjście. „Nowy system dojrzałe będzie stopniowo” — stwierdzają. Czy znaczy to, że jest wciąż jeszcze w sferze

wstępnych ustaleń, spekulacji i dywagacji? Jaki jest stosunek opublikowanych parę miesięcy temu „Założeń reformy gospodarczej” do ogłoszonych ostatnio „Kierunków reformy gospodarczej”?

Na pytania te brak odpowiedzi. Autorzy stwierdzają tylko, że konieczne jest opracowanie zespołu rozwiązań na okres przejściowy.

Jako zadanie najtrudniejsze widzą się zadowalające rozwiązanie rozdziału środków produkcji oraz przemieszczeń siły roboczej. Jest to temat na tyle szeroki, że wymaga szczegółowego opracowania. Raport zapowiada prace nad programem działań stabilizacyjnych, które, jak można domniemywać, muszą poprzedzać reformę. Skoro tak, to trzeba się śpieszyć, bo do dnia zapowiadanej wdrożenia reformy jest już stosunkowo niedaleko, a każdy tydzień zwłoki komplikuje sytuację i zwiększa społeczne koszty kryzysu.

Ten pośpiech jest tym konieczniejszy, że nawet raport dostrzega w świadomości społecznej swego rodzaju siłę produkcyjną. Jeśli uznaje się, że już dzisiaj ograniczona swoboda wyboru polityki gospodarczej, to trzeba założyć, że jutro może być jeszcze trudniej. Tylko szybkie i zdecydowane działania, w pełni wiarygodne, co jest dzisiaj podstawowym warunkiem, mogą sprawić, że świadomość społeczna stanie się czynnikiem wzrostu. Tutaj moim zdaniem, tkwią nasze największe rezerwy. Wiedza o tym zresztą autorzy raportu, kiedy piszą:

„Kształtowanie tej świadomości i wynikających z niej postaw przez działania wyjaśniające, budowanie ogólnospołecznego zaufania i zrozumienia współodpowiedzialności, przez dialog ze społeczeństwem i jego organizacjami, przez odwagę, rozważanie i szybkość w działaniu władz — jest zadaniem równie doniosłym, jak działania ściśle gospodarcze”.

**KONRAD FREJDLICH
ODGŁOSY 5**

„Z UWAGI NA NIEPORZĄDKI...”

Dalszy ciąg ze str. 2

Z drugiej jednak strony jest to dość naturalne, że o władzę na ogół trzeba walczyć. To, że przez dość długi czas władzę się po prostu miało jakby z nieba, bez jawnych przeciwników, spowodowało uspienie tych, którzy władzę miawali i to uspienie zostawało dziedzicznie jakby przeniesione. Można było działać byle jak, nie dbając ani o uzasadnienie, ani o społeczne reperkusje, no bo po cóż, skoro opozycja nie istniała, nikt nie zagrażał. Dziś wszystko się bardzo skomplikowało; okazuje się, że istnieje Konstytucja, może w paru punktach niewygodna, ale której trzeba przestrzegać, że istnieje prawo, a w systemie prawnym obok prawników także adwokatów, którzy dobrze znają kodeksy, że pojęcie ludowładztwa, tak łatwe przy jego deklinowaniu, staje się uciążliwe przy stosowaniu. I t. d. Rozhartowana cięplarnianymi warunkami władza musi od nowa, bo i na odmiennych niż dotychczas zasadach i warunkach, uczyć się swego sprawowania.

Stąd też chyba sporo nerwowości, niekonsekwencji, posunięć doraźnych nie uszeregowanych taktycznie, a co dopiero strategicznie. Trudność jest jeszcze co najmniej jedna. W takiej sytuacji jak obecna, opozycji łatwo jest działać i efektywnie i skutecznie. Władza legalna to szarość. Per analogiam: z reguły o wiele efektywniejsze są dziennikarskie artykuły krytyczne, interwencyjne itp., niż mniej skuteczne i potrzebne, te, których autor pisze o pozytywach. Po prostu siła negacji zawsze jest nośniejsza.

5.

Do naszej redakcji przyszedł odpis listu, przed którego zacytowaniem nie mogę się oprzeć:

Rada Państwa PRL
Konwent Seniorów Sejmu PRL
Warszawa

Z uwagi na nieporządku w sprawowaniu władzy w PRL, przesyłam własne spostrzeżenia. Jeżeli do 14 lipca 1982 roku w Polsce —

1. nie zostanie przywrócony właściwy stan finansowy państwa,
 2. nie zostanie zahamowany proces niszczenia zdrowotnego narodu,
 3. nie zostanie zatrzymana dewastacja przyrody,
 4. nie zostanie zaopatrzone rolnictwo w środki obróbki ziemi,
 5. nie zostanie zatrzymane zubożanie społeczeństwa,
 6. nie zapobiegnie się inflacji,
- wówczas będę dążył do zmiany ustroju w Polsce na ustrój prezydencki.

Jacek Kwiatkowski
Bystrzyca 14
59-610 Wleń

Nie mogę powiedzieć, żeby ten list mnie nie wzruszył. Obywateli Kwiatkowski bardzo jasno i wyraziście stawia konkretne żądania. Daje też szansę, bo roczny termin realizacji. Bywają krótsze...

Poza wszystkim jednak, jest ten list także bardzo symptomatyczny dla stanu umysłów wielu naszych rodaków. Oto po prostu żąda się czegoś, bo jak nie, to...

No dobrze, obywateli Kwiatkowski — a co Wy byście mogli zrobić, aby pomóc Radzie Państwa i Konwentowi Seniorów Sejmu PRL w spełnieniu tych 6 ultimatywnych punktów?

Powinno być już. Tak zwany okres miniony, czy też okresy minione, doprowadziły do doskonałego niemal oddzielenia władzy od społeczeństwa, co perfekcyjnie w dalszym ciągu funkcjonuje. W mentalności powojennych Polaków głęboko utkwiły slogany, którymi szermowała nie tylko propaganda sukcesu, ale i z poprzednich epok, że wszystko co ma obywatel, daje mu władza ludowa. Tak to się głęboko zakorzeniło w świadomości i podświadomości, że przeciętny nasz rodak nie widzi żadnego związku między tym co krajowi daje, a tym, czego od władzy ludowej chce. Władza ludowa dała reformę rolną, nacjonalizację przemysłu, powszechne nauczanie, opiekę socjalną, renty i emerytury, bloki mieszkalne, pensje i t. d. Tak tym nasi współobywatele zostali ogłupieni, tak precyzyjnie i dosłownie wybito im z głowy, że oni sami o to musieli powalczyć, czy na to zapracować, że kompletnie rozpadł się też związek przyczynowo-skutkowy między pracą i płacą. Między tym, co ma w kraju być, a co oni mają w tym celu robić.

Rezultatem tego rodzaju myślenia były, według mnie, porozumienia placowe podpisywane jak leci, rezultatem tegoż był np. udział w marszu głodowym znanej mi (z widzenia) ekspedientki sklepu spożywczego, która, wiem to z obserwacji, niestety nie uczestniczącej, co atrakcyjniejsze towary chowa na zaplecze i sprzedaje wyłącznie znajomym. O pani tej z całą pewnością wiem, że nie głoduje.

Co pan na to, panie Kwiatkowski?

6.

Kiedy to piszę, trwają jeszcze obrady II Plenum KC PZPR, obradują również KKP NSZZ „Solidarność”. Wchodzimy na skrzyżowanie, czy schodzimy z niego?

JERZY KATARASIŃSKI

— Panie prezesie zdobył Pan sobie sporą popularność niedawnym wystąpieniem telewizyjnym...

— To, oczywiście przesada!

— Ostatecznie, jako pierwszy chyba zaatakował Pan — korzystając z uprawnień delegata na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR — przewodniczącego Państwowej Komisji Cen, min. Z. Krasieńskiego.

— Znowu nie tak: atakowałem nie prof. Krasieńskiego, lecz jego koncepcję podwyżki cen. Dla osoby profesora mam wiele uznania i szacunku, chociaż nie wszystkie jego pomysły trafiają mi do przekonania.

— Już w samym sformułowaniu „koncepcja podwyżki cen” kryje się główny zarzut przeciwko pomysłom świeżo upieczonych przewodniczącego PKC...

— Tak, wszyscy bowiem czekamy na kompleksową, głęboką i mądrą reformę cen, a nie ich drastyczną — całkiem zresztą mechaniczną — podwyżkę. Z początkowej dyskusji wokół koncepcji prof. Krasieńskiego wyniosłem wrażenie, że jej zapaleniu zwolennicy tu widzą jedyną drogę rozwiązania naszego kryzysu społeczno-gospodarczego. I nie pozbawione są podstaw podejrzania, że do tej podwyżki chcieliby w pierwszej fazie ograniczyć reformę. A skutki ekonomiczne i społeczne takiej operacji mogą być opłakane. Zresztą, taki stosunek do naszych problemów gospodarczych jest o tyle zrozumiały, że stanowi pójście po linii najmniejszego oporu.

Nasz rynek aż się prosi, aby dokonać na nim radykalnych zmian. Pieniądzy dużo, towaru mało — jedyna więc z pozoru szansa na przywrócenie równowagi, to zwielokrotnienie cen, które np. osiągają już w obrocie wolnorynkowym absurdalny poziom...

— W proponowanym przez prof. Krasieńskiego projekcie przeglądają się, jak w lustrze, obecne ceny bazarowe. Ocenianie jednak sił i chęci nabywczych ludności przez pryzmat czarnego rynku jest chyba kardynalnym błędem...

— Bezsprzecznie, jak i błędne jest dążenie do osłabienia rynkowej równowagi tylko i wyłącznie za pomocą windowania cen. Niewybaczalne zaś jest w przypadku, gdy rzecz dotyczy towarów pierwszej potrzeby. Wiem, że nęci to, aby nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapłacić od nowa półki sklepów...

— „Zatrzymując w nich towary, które większość z nas będzie mogła częściej oglądać, a rzadziej — kupować.”

— Widzę, że i pan nie należy do zwolenników koncepcji prof. Krasieńskiego.

— Jestem za reformą cen, a nie podwyżkami, które w sposób sztuczny — a więc w konsekwencji niebezpieczny nie tylko pod względem społecznym, lecz i ekonomicznym — przywracają równowagę rynkową.

— I tu się pewnie do końca zgodzimy, bo ja prezentuję pogląd, że reforma cen powinna być jednym z elementów całej reformy gospodarczej, integralnie, wynikowo związanym z pozostałymi. Powinna stać się instrumentem napędzającym gospodarkę, zapewniającym towarom rynek, a nie odcinającym od niego klientów. Uważam, że mamy ogromny majątek narodowy. Jesteśmy jednym z najbardziej zasobnych w surowce krajów w Europie. Mamy również potężny potencjał przemysłowy. Nie jesteśmy więc wcale tak ubodzy, żeby żyć w nędzy. Prawidłowe ustawienie całej gospodarki da na pewno większe efekty w skali społecznej i ekonomicznej, niż sama podwyżka cen. Reforma gospodarcza czy jej fragment — reforma cen — nie może wcale oznaczać jednostronnego ruchu cen — ciągle w górę. Ceny powinny być ustalone w oparciu o koszty, jedne zatem należałoby podwyższyć, ale inne — obniżyć. Skutków popelnionych w przeszłości błędów nie da się usunąć przez popelnianie nowych błędów. Przymusowa sytuacja w postaci braku równowagi rynkowej nie powinna być pretekstem do dalszego rozregulowywania rynku, do rozregulowania całej gospodarki. Relatywne obniżenie płac milionów Polaków nie uleczy schorowanej gospodarki. Podstawowym elementem sterowania rynkiem, sterowania popytem i podażą, powinna być logiczna i uczciwa polityka cenowa, uwzględniająca oba kierunki — w górę i w dół...

— Przed paroma miesiącami napisałem w jednym z artykułów, że nawis inflacyjny czy luka inflacyjna nie są tylko i wyłącznie wynikiem nadmiaru pieniędzy, lecz — kto wie czy nie bardziej — skutkiem niedoboru towarów.

— Dlatego też i ja uważam, że reforma cen powinna przede wszystkim pobudzać produkcję, a dopiero w końcowym efekcie — stabilizować rynek. Równowaga rynkowa za cenę zepchnięcia kolejnych milionów do poziomu minimum socjalnego jest nie do przyjęcia.

— Na temat minimum socjalnego wypowiadał się Pan również przed kamerami telewizyjnymi. Przypomnijmy chociaż główną tezę...

— Była to wypowiedź bardzo emocjonalna, sformułowana dość drastycznie...

— Wycofuje się Pan z niej dzisiaj?

— Nie. Powiedziałem wówczas, że minimum socjalne w wysokości 2 800 zł tak dalece odbiega dziś od realiów życia, że staje się wręcz obrażą dla powszechnie akceptowanej w naszym kraju idei socjalizmu!

— Odnosząc się do poprzedniego wątku naszej rozmowy, można powiedzieć, że grozi nam, iż do tych, którzy żyją dziś na poziomie minimum socjalnego, dosłuszuje kilka milionów następnych. Cała zaś różnica sprowadzi się do tego, że — po rekompensatach — minimum będzie równie żałosne, choć wynoszące już nominalnie 4 000—5 000 złotych?

— Jest to pewne uproszczenie, ale nie pozbawione racji.

— Pańskie wypowiedzi — z tego co wiem — spotkały się z żywym odbiorem ze strony współtowarzyszy IX Nadzwyczajnego Zjazdu, z którymi pracował Pan w zespole...

— Każdy z nas, delegatów, starał się wnieść do obrad plenarnych bądź zespołowych swoją sumę opinii i poglądów, które zebrał wśród swoich wyborców.

— Szykuje się Pan, prezesie, do następnego zjazdu — spółdzielczości pracy, który odbędzie się w październiku. Czy dla spółdzielczości będzie to również zjazd przełomowy?

OSTROŻNIE Z REFORMĄ

— rozmowa z prezesem
Łódzkiego Związku
Spółdzielni Pracy
SŁAWOMIEM
WALCZAKIEM

— Czy oczekujemy jakiegoś przełomu? Czy będziemy do niego dążyć na zjeździe? Chcielibyśmy przygotować się do zjazdu tak, żeby był to zjazd konstruktywny. Zjazd, w rezultacie którego powinien nastąpić dynamiczny rozwój spółdzielczości pracy jako formy produkcji niesłyszalnie taniej, nie angażującej znacznych państwowych środków finansowych. Co nam potrzeba, żeby dobrze realizować nasze cele społeczne i gospodarcze? Autentycznego równoprawienia, równopartnerstwa, a więc niejako niepodważalnego uznania spółdzielczości za trwałą i pełnoprawną formę w ustroju socjalistycznym. Równopartnerstwa wyrażającego się — na przykład — w dostępie do środków na tych samych zasadach, co przemysł kluczowy...

— Z zastrzeżeniem większej efektywności przydzielanych przez państwo środków...

— Oczywiście, jest to przecież istotą spółdzielczości.

— Spółdzielczość dziś nie startuje jednak od zera. Wiele, ponawianych całym latami, postulatów zostało już spełnionych. Ostatecznie, spółdzielczość — jako prekursor czy eksperymentator — rozpoczęła wdrażanie reformy gospodarczej. Od 1 lipca przecież obowiązuje Uchwała Rady Ministrów nr 112 o drobnej wytwórczości...

— Tak, również i Uchwała nr 72, Zarządu CZSP traktująca o samej spółdzielczości. Są to dokumenty stwarzające realne przesłanki do prawidłowego funkcjonowania spółdzielni, całego przemysłu drobnego.

— Z mojego rozeznania wynika jednak, że nowy system ekonomiczno-finansowy ma pewne luki...

— Niestety. Weźmy chociażby fakt, że uchwała zakłada rozwój drobnej wytwórczości w oparciu o surowce wtórne i odpady, nie uwzględniając wcale, że ta drobna wytwórczość ma spory udział w globalnej produkcji przemysłowej — prawie 10 proc. — z czego zdecydowana większość, to produkcja rynkowa. Surowce więc odpadowe i wtórne swoją drogą, a pełnowartościowe — swoją. W okresie zatem rozdzielnictwa, a raczej centralnej dystrybucji surowców, powinna i drobna wytwórczość mieć zabezpieczone potrzeby surowcowe w postaci konkretnych zapisów w Narodowym Planie Społeczno-Gospodarczym. Inaczej bowiem nie spełni ona oczekiwań społecznych. Oczekiwanie na wyrób atrakcyjny i stosunkowo tani, wyrób niejednokrotnie jednostkowy lub produkowany w krótkich seriach. I jak mamy w tej sytuacji być prekursorami reformy, skoro już dziś zachodzi realna obawa, że — na przykład — przemysł dziewiarski nie będzie posiadał surowców już w listopadzie i grudniu... Jeśli tak, to nasuwa się pytanie, jak można być prekursorem nowego systemu ekonomiczno-finansowego?

— Słowem, bez zaopatrzenia w surowce cała reforma w spółdzielczości jest zagrożona. Może więc zaistnieć sytuacja, że ktoś — patrząc tylko na wynik — stwierdzi, że reforma się nie sprawdzi, więc lepiej się z niej w porę wycofać?

— Eksperyment może tylko wówczas się powieść, jeśli dochowa się wszystkich parametrów

Jeśli nie można tego zapewnić, należy wprowadzić „asekuracyjne” modyfikacje czy korekty, skorespondowane w warunkach zewnętrznych.

— Uchwała jednak tego nie przewiduje?

— Ale my przewidujemy. Uważamy, że sama koncepcja — ze wszech miar słuszną — musi być na tyle elastyczna, aby udawało się osiągnąć zamierzone cele. Innym tematem — na przykład — jest problematyka cenowa. Uchwała nr 112 zezwala na ustalanie cen w oparciu o grę wolnorynkową...

— I szybko zrealizuje się marzenie prof. Krasieńskiego: ruszy cenowa lawina. Spółdzielnie zaczną produkować superdrogie ekskluzywne wyroby dla rzeszy wybrańców z potężnym „nawisem inflacyjnym” w portfelu...

— Uchwała zawiera oczywiście plus w postaci wyeliminowania szczebli pośrednich w ustalaniu cen, do czego ma wreszcie prawo sam producent. Producent jednak, w sytuacji, gdy półki całkiem puste, nie ograniczy się zapewne do uczciwej kalkulacji: koszty produkcji plus niewielki zysk, lecz będzie windował ceny do wysokiego pułapu, bo przecież nie wytwarza wyrobów masowych, o których zbyt walczyć by musiał również i odpowiednią ceną...

— Inaczej mówiąc, w okresie przejściowym, prawo do ustalania cen powinno być zawieszane, a raczej — ujęte w sztywny gorset narzuconych z góry wskaźników?

— Oczywiście, w dobre pojętym interesie społecznym. Złazsza za ceny obecnie byłby ustalane — znaną skąd inąd — metodą sufitową... W obecnej sytuacji istnieje inna przecież możliwość popierania spółdzielczości pracy czy całej drobnej wytwórczości — poprzez odpowiednią politykę fiskalną państwa...

— Za dużo tu więc samodzielności, a w czym za mało?

— Na przykład w dziedzinie kooperacji i współpracy z przemysłem kluczowym, która to kooperacja została całkiem zniszczona w okresie, kiedy spółdzielczość była trawiona chorobą...

— „zwana pykozą, od nazwiska wicepremiera Pyki?”

— Zna więc to pan, wie pan zatem również, iż współpraca z przemysłem jest znakomitą źródłem oszczędności i racjonalizacji produkcji. Weźmy, na przykład, zakupy zużytego parku maszynowego, który zamiast iść pod młot, pracuje w spółdzielczości... Cóż, żeby nie wchodzić dalej w szczegóły, jedna generalna uwaga. Zbyt często tworzy się uchwały, przepisy, decyzje w oparciu o teorie naukowe, a bez udziału praktyków. Jakże często się zdarza, że słuszną nawet koncepcja nie jest dostatecznie skuteczna, gdyż nie uwzględnia realiów życia...

— I to chyba ciągle grozi naszym zabiegom reformatorskim, mimo że są one tak powolne, tak wymęczone. Jeszcze nie wyrwaliśmy się z jednego błędnego koła, a już nam grożą nowe? Jakże mamy zatem gwarancję, że podejmując niezbędna — konieczna, jak powieterze i woda — reformę, unikniemy przysłówowego wylewania dziecka z kąpielą?

— Gwarancje takie rodziły się przez ostatnich wiele miesięcy, a ostatecznie przypieczętował je IX Nadzwyczajny Zjazd partii. Dyskusja na zjeździe dobitnie dowiodła, że nie może być dużej tak, aby teoria sobie, a praktyka sobie. Właśnie dziś uczymy się patrzeć na państwo jak na zbiorowy majątek, za który odpowiadamy wszyscy razem i każdy z osobna. Dziś zarówno decydent, jak i wykonawca, decydując czy realizując, musi działać z równą rozwagą i odpowiedzialnością.

— A konkretniej: zdaniem Pana, co robić?

— Trzeba w codziennym działaniu nawiązywać do uchwał Zjazdu, a szczególnie do „Programu rozwoju socjalistycznej demokracji i umacniania kierowniczej roli PZPR...”.

— Program ten nie zawiera jednak ostatecznych recept na uzdrowienie sytuacji społecznej i gospodarczej w naszym kraju.

— Zawiera. Podstawową receptę: demokrację. Nikt już nikomu nie będzie ust zamykał, nikt też nie będzie mógł twierdzić, że pozbawiony jest wpływu na rozwój wydarzeń. Program ten przecież jednoznacznie powierza losy kraju narodowi. Co więc robić? Konsekwentnie realizować program, którego ostateczna wersja redagowana była przez dwa tysiące ludzi w imieniu milionów, które obdarzyły ich zaufaniem. W moim przekonaniu — przy korzystaniu z demokratycznych swobód, przy równocześnie zachowaniu ładu i porządku, w poczuciu ogromnej wspólnej odpowiedzialności za przyszłość kraju — w stosunkowo krótkim przedziale czasowym sytuacja społeczno-gospodarcza powinna ulegać ciągłej poprawie...

— Przemawia przez Pana optymizm...

— Tak, bo nade wszystko wierzę w ludzi, w ich mądrość i ofiarności. Wierzę w to, że i oni są w stanie jeszcze raz uwierzyć. Proszę pana, niedawno przeżyłem sytuację, której życzę każdemu działaczowi gospodarczemu czy społecznemu, aby odzyskał wiarę w lepsze jutro, o ile pod presją naszej codiennej rzeczywistości ją utracił. Otóż, zgłosiła się do mnie delegacja, aktyw jednej spółdzielni: administracyjnej i partyjnej, związkowej, a w tym i „branżowej” i „Solidarności”. Ich spółdzielnia ma kłopoty z surowcem. Surowiec z importu. Brak dewiz. Myśli pan, że przyszli się poskarżyć? O, nie. Wyśłali ich kobiety — a 1 000 ich tam pracuje — z propozycją, że zrobią składkę po dwa dolary każda. Na zakup surowca...

Rozmawiał:
JACEK INDELAŁ

Stara kobieta przekazawszy państwu ziemię za rentę, pozostawiała sobie budynki z myślą, że kiedyś dzieci z miasta albo zamieszkają z nią, albo przynajmniej znajdą na wsi letnisko. Nikt jej nie uświadomił, że według obowiązujących przepisów budynki stoją na państwowym gruncie, i że po jej śmierci dom razem z użytkowaną działką przysługują państwu. A kiedy owa stara kobieta ciężko zachorowała, nie miał się kto nią zaopiekować, ponieważ lekarz wiejski nie mógł wypisać zwolnienia na opiekę nad matką dzieciom zameldowanym w mieście.

Chłop nie był pewien starości, w każdej chwili można go było wyrugować nie tylko z ziemi, ale i z budynków. A nawet... sprzedając go razem z domem nowemu właścicielowi. Niestety, nie są to tylko zaszłości. Do dziś ludzie cierpią wskutek dowolnej, krzywdzącej interpretacji przepisów ustawy emerytalnej dla rolników. Oto w latach siedemdziesiątych władze gminne w Rzgowie odebrały ziemię, razem z budynkiem mieszkalnym, małżeństwu Przytułskim, ludziom w podeszłym wieku. Władze motywowały to tym, że Przytułscy zbierają plony niższe od średniej w gminie. Dane świadczą jednak, że wcale tak nie było. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że ostatecznie można było za rentę zabrać ziemię, ale starym ludziom zostawić przynajmniej drewniany dom. Niestety, władze kierowały się... wyższymi celami. Dom Przytułskich stał w reprezentacyjnym centrum Rzgowa. Był zawałtym, przeszkadzał w modernizacji i właściwym zagospodarowaniu przestrzennym. Dziś Przytułscy przekroczyli już osiemdziesiąty rok życia, jedno z małżonków jest nieuleczalnie chore. Syn Przytułskich, mieszkający w Łodzi, chciałby na stałe zaopiekować się rodzicami. Gdyby Urząd Gminy pozwolił mu wyremontować i rozbudować rodzinny dom, opuściłby mieszkanie w Łodzi i zamieszkał w Rzgowie. Są to jednak tylko pobożne życzenia, gdyż stary drewniany dom należy do państwa. Według planów zostanie rozebrany. W związku z tym trzeba będzie wystawić na ulicę łóżka ze starymi, schorowanymi ludźmi. Ponieważ łóżka znajdują się akurat na wprost okien Urzędu Gminy, należy żyć nadzieją, iż długo tam nie posąją, bo urzędnik też człowiek, chociaż z papierowym sercem.

Smutne to, ale prawdziwe. Podtrzymuje jednak to, co napisałem przed laty, a mianowicie, że ustawa o emeryturach dla rolników z dn. 27 X 1977 r. była wydarzeniem historycznym, prowadzącym do zrównania wsi z miastem. Wiele założeń było w niej słusznych, ale wiele też zgola nieusprawiedliwionych. A najgorzej przedstawiało się wprowadzanie ustawy w życie. Od samego początku rodziły się konflikty i nieporozumienia, wynikające z błędnej interpretacji przepisów, a także z ich nieznaności, i to zarówno przez chłopów, jak i przez urzędników. Ogródnikom np. wmawiano, że nie otrzymają emerytury, chociaż kontraktowali i sprzedawali swoje produkty państwu. Niezłe sytuowani ogrodnicy, mający dobre zabezpieczenie na starość, śmiali się z emerytur. Ale dla tych bez następów, przyszłość malowała się dość czarno: dorobek ich całego życia, częstokroć o wartości kilku milionów, mógł przejść na skarb państwa.

Warunkiem uzyskania emerytury była roczna sprzedaż plodów rolnych za 15 tys. zł. (Działaj, po podwyżce cen skupu, z 1 ha można sprzedać samego żyta za 25 tys. zł). Ustawa stwarzała preferencje dla zamężnych. Urzędnicy gminni wskazywali reporterom tych rolników, którzy sprzedawali państwu plody rolne za milion złotych. Tacy mogli otrzymać emeryturę w wysokości 6,5 tys. zł. Tylko, że płacone przez nich składki emerytalne przekraczały nierzadko do czasu uzyskania emerytury wartość gospodarstwa. Pokazywani z dumą przez władze rolnicy mówili reporterowi, że składka w wysokości 20 tys. rocznie, płacona przez 35 lat, daje 700 tys. zł, nie licząc odsetek. Gdyby to wszystko złożyli w PKO, to na starość mogliby żyć z wysokiego procentu, a wkład przekazać w testamentie dzieciom i wnukom. Tymczasem w myśl ustawy rolnik mógł otrzymać emeryturę nie za same składki, ani za swoją pracę, lecz za gospodarstwo.



Starość bez ziemi

Ryszard Binkowski

Mimo że płać składki, musiał przekazać gospodarstwo następcy lub państwu.

Chłopo-robotnik, który rzeczywiście pracował ciężko, na dwóch etatach, mógł uzyskać półtorę renty. Ale tacy np. starzy rolnicy, którzy w ramach uwłaszczeń przekazali gospodarstwa następcom przed wejściem ustawy w życie, otrzymywali zasiłek w wysokości... 1000 zł na dwie osoby. Ludzie mówili, z gorczą, że jest to dodatek na cukierki dla wnuków. Natomiast rolnicy bez następów przekazawszy majątek państwu przed 27 X 1977 r., wypadali jeszcze gorzej. Jeśli bowiem bezduszny urzędnik wycenił gospodarstwo za nisko, to i renta była znikoma. No i ci samotni, starzy ludzie nie mogli już liczyć na czyjąś pomoc.

Podobnie było z innymi świadczeniami socjalnymi dla wsi. Śmiech wzbudzała sprawa zasiłku porodowego. Bo czy kobieta w wieku 60 lat będzie rodzić dzieci? Albo zasiłek chorobowy, który można było uzyskać dopiero po 30 dniach chorowania. Zasiłek wynosił 50 zł dziennie, a pracownik zatrudniony na czas choroby gospodarza brał 500 zł dziennie. Kiedy dziecko zachorowało w czasie żniw, matka musiała zostać z nim w domu. Nie otrzymała jednak ani zwolnienia na opiekę nad dzieckiem, ani żadnego zasiłku, który by zrekompensował zapłatę, jaką trzeba było uiszczyć pracownikowi, który zastępował kobietę w polu.

Jeżeli rolnik uległ wypadkowi przy pracy, lekarz wypisywał zwolnienie, chował druk L-4 do swoich akt i prosił o zaświadczenie, że... wypadek faktycznie nastąpił. Okaleczony rolnik, niekiedy w gipsie, musiał udać się do gminy, żeby go obejrzało, sporządzono komisyjnie protokół z wypadku, podpisano i opieczętowano. Rolnik wracał do lekarza, ten wydawał mu zwolnienie, które wędrowało do ZUS i po kilku miesiącach rolnik otrzymywał odszkodowanie. Ale kiedy chłop złamał nogę w drodze do kościoła, nie otrzymał odszkodowania. Jak się maciora wyprosiła, chłop dostawał węgiel. A jak się dziecko urodziło, węgiel nie dostał, tylko symboliczny zasiłek. Można było kupić parę litrów wódki na chrzciny, bo wódka nie była wtedy reglamentowana.

Wysokość emerytury liczyła się od sprzedaży plodów rolnych w pięcioleciu przed emeryturą.

Chłop po sześćdziesiątce nie miał siły, żeby dużo produkować. Dlatego też, bywało, młodzi rolnicy oddawali mu swoje produkty rolne, dzięki czemu uzyskiwał emeryturę wyższą. W woj. piotrkowskim toczyły się nawet procesy w sprawie handlu emeryturami.

Samotnych rolników, bez następów, próbowano lokować w nielicznych, prymitywnych domach rencistów lub domach dziennego pobytu. Wywołanie starych ludzi ze wsi, odrywanie ich od korzeni, kończyło się tragicznie. Opracowując ustawę o emeryturach nie konsultowano ważnych spraw z rolnikami, nie zaglądano w „chłopską duszę”. Chłop, który od dziecka pracuje w gospodarstwie, nie potrafi żyć bez pracy na roli. Ma ogromny żal do władz, które zabierają mu pole. Chłopa nie można oderwać od ziemi, bo wówczas choruje z bezczynności, czuje się niepotrzebny, gwałtownie traci siły vitalne, umiera. Chłop nie chce domu starców. Pragnie dożyć swych dni na wsi, umrzeć pośród swoich,

we własnym łóżku. Dlatego w interesie państwa leży, aby jak najwięcej młodych ludzi zdolnych do opieki nad rodzicami pozostało na wsi. Starość spędzona z własnymi dziećmi nie jest wprawdzie pozbawiona konfliktów; ale to nie to samo, co samotność, upokorzenie i vegetacja na państwowym garnuszku.

Od 1 lipca 1980 r. ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym rolników weszła w życie w pełnym swym brzmieniu. Jednocześnie uchwałą rządu z 16 grudnia 1980 r. postanowiono podnieść te renty, które zostały przyznane przed 1 stycznia 1978 r. Renty te, jeżeli nie przekraczały zł. 1.500 — mają wzrosnąć o 400 zł, a pozostałe — o 300 zł. Rolnicza emerytura lub renta inwalidzka nie może być niższa od 100 zł. Wydaje się, że nawet ta najnowsza uchwała jest już czymś anachronicznym. Przede wszystkim najwięcej kontrowersji wzbudza problem wspólnej emerytury małżeńskiej — 1900 zł na dwie osoby. Kobiety, najczęściej harujące w gospodarstwie, czują się pokrzywdzone. Przecież one wypracowały sobie własną emeryturę. A poza tym, jeżeli w kraju ma obowiązywać minimum socjalne, to niech dotyczy wszystkich.

Minister rolnictwa jest za chłopami. Minister pracy, plac i spraw socjalnych broni kiesy państwa. Nie chodzi jednak o same pieniądze. Chłopi pracują niemal od dziecka, w światkę czy piątek, bez urlopów, od świtu do nocy. Dlatego też wiek emerytalny na wsi powinien zostać obniżony. Dzięki temu następowałyby szybsza rotacja kadr w rolnictwie. Komitet Strajkowy działający w imieniu Ogólnopolskiego Komitetu Załościskiego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych oraz MKZ NSZZ „Solidarność”. Rzeszów stwierdził, że „w państwie socjalistycznym rolnicy indywidualni winni mieć równe prawa socjalne jak inne grupy społeczno-zawodowe”. Strajkujący rolnicy wskazali w swych postulatach, iż ze względu na specyfikę pracy w rolnictwie wszelkie świadczenia winny być wypłacane wszystkim osobom pracującym w gospodarstwie chłopskim, bez względu na wiek, dochodowość, wielkość gospodarstwa, przy czym wysokość emerytury musi być równa minimum socjalnemu. Natomiast wiek emerytalny powinien się obniżyć do 60 lat dla mężczyzn i 55 lat dla kobiet. Składka emerytalna powinna być

równa. Kto zaś chce uzyskać wyższą emeryturę, niech płaci więcej.

Podstawowym warunkiem przyznania emerytury, według rolników, może być przekazanie gospodarstwa następcom z bliższej i dalszej rodziny. Jeśli rolnik nie ma następcy, może gospodarować dalej (ale wtedy zwolniony jest od płacenia składek); może sprzedać gospodarstwo osobie prywatnej, wydzierżawić, podarować, albo sprzedać państwu po cenie wolnorynkowej.

Jeśli chodzi o inne świadczenia socjalne, rolnicy proponują, aby prawem do renty inwalidzkiej objąć także osoby zaliczane do III grupy inwalidzkiej. Rolnik musi mieć prawo do renty chorobowej z tytułu wypadku przy pracy lub choroby zawodowej. Odszkodowania z tego tytułu należy wypłacać na tych samych zasadach, co innym pracownikom. To samo dotyczy wypłacania zasiłków chorobowych. Kobiętom pracującym w gospodarstwach należy przyznać prawo do płatnych urlopów macierzyńskich, obliczanych na podstawie minimum socjalnego. Wszyscy rolnicy muszą mieć prawo do zasiłków rodzinnych na dzieci oraz do zasiłków pogrzebowych.

Postulaty rolników w kilku punktach są zbliżone ze społecznym projektem zmiany systemu emerytalnego, przedstawionym przez zespół NK ZSL. Według tego projektu emerytura składałaby się z dwóch części: minimum socjalnego liczonego na podstawie kosztów utrzymania ludności rolniczej, oraz drugiej części ustalonej według wielkości produkcji w gospodarstwie i sprzedanej państwu. Projekt nie mówi jednak jasno, czy emerytura należy się za pracę, czy za gospodarstwo.

Czy chłopskie postulaty nie są w pełni uzasadnione? Według oceny Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej na miejsca w domach opieki społecznej czeka 7 tys. starych ludzi ze wsi, a pomocy domowej wymaga 20 tys. chorych i niezdolnych mieszkańców wsi. Na 2 tys. gmin istnieje tylko 700 poradni dla dzieci i 600 poradni dla kobiet. Ze żłobków i przedszkoli może korzystać zaledwie 46% matek pracujących w gospodarstwach. Niedostateczna jest ilość pielęgniarek śródomieszkowych i siostr PCK. Szpitale nie chcą przyjmować ludzi przewlekłe chorych. Na wsi muszą więc powstać ośrodki rehabilitacji dla inwalidów i dzieci niepełnosprawnych. Trzeba zorganizować system pomocy i opieki nad ludźmi starymi w domach, w takich warunkach, do jakich ci ludzie przywykli. Realizacja tych celów wymaga stworzenia funduszu socjalnego dla wsi.

Po podpisaniu porozumienia między strajkującymi rolnikami i komisją rządową w Rzeszowie w dniu 18 lutego 1981 r. stwierdzono m.in.: „W terminie do dnia 31 grudnia 1981 r. Rząd wniesie do Sejmu projekt nowelizacji ustawy z dn. 27 października 1977 r. o zaopatrzeniu emerytalnym oraz innych świadczeniach dla rolników i ich rodzin”. Rząd i specjalnie powołane komisje przystąpiły do pracy. Propozycje jest wiele, toteż Komitet Gospodarczy Rady Ministrów powinien wszystkie rozpatrzyć i skonsultować z rolnikami. Dotychczasowe przepisy stwarzały bałagan i nieporozumienia, dawały urzędnikom szerokie pole do nadużyć. Rolnicy byli traktowani bezdusznie, przewlekano załatwianie spraw ubiegających się o świadczenia. Przekupni urzędnicy zawyżali wartość sprzedanych przez rolników plodów rolnych; było i tak, że naliczano składki emerytalne osobom zmarłym, pomijając żyjących właścicieli.

Aby tego uniknąć, nie należy zajmować się nowelizacją, ale po prostu stworzyć nową ustawę o emeryturach i innych świadczeniach dla rolników. Przepisy muszą być jasne, zrozumiałe dla chłopów, bez niedomówień i możliwości dowolnej interpretacji przez urzędników. Taka dobra, zupełnie nowa ustawa, to nie tylko socjalne zrównanie wsi z miastem. To także zachęta do pracy na wsi, a tym samym wzrost produkcji żywności oraz zdecydowana poprawa sytuacji materialnej i społecznej ludzi starych, którzy wszystkie swe siły i zdrowie poświęcili pracy na roli.

Z ARCHIWÓW

OD RUDY PRZESZ ŻABIENIEC DO NOWOSOLNEJ

Niemal do końca XVIII stulecia okolicę dzisiejszej Łodzi były mocno okolonizowane. Zważywszy na to, że Łódź powstała prawie ze wszystkich stron. Jedynie od zachodu występowały większe przesłanianie bezleśne, zajęte pod uprawy rolne i pastwiska. Tereny puszczańskie charakterystyczne dla Łódzkiego.

Zasiedlanie tzw. Puszcz Łódzkiej rozpoczęło się około 1730 roku przez przybyszów z Zachodu zwanych oledami. Osadnictwo olederskie prowadziło samorządnie właściciele ziemni, kierując się chęcią podniesienia dochodowości swych majątków ziemskich. Wykorzystywali oni w tym celu sprzyjającą okoliczność, że Niemcy rolnicy wyszyscy długotrwale wojnami na terenie Rzeszy, chętnie przenosili się w te strony.

Na krótko przed drugim rozbiorem Rzeczypospolitej w sąsiedztwie ówczesnej Łodzi powstało szeregi kolonii olederskich. Osadnicy rolni głównie pochodzili z Niemiec, ale nierzadkie były wypadki, że rekrutowali się oni także z ludności polskiej, zamieszkalej na obszarach zagarniętych przez Prusy po pierwszym rozbiore Rzeczypospolitej. Nowi osiedleńcy przeważnie wolni byli od pańszczyzny, wzamian jednak musieli płacić czynsz w pieniądzu. Wśród wielu posiadaczy ziemskich, którzy na podlódzkim obszarze zakładali osady olederskie, jednym z pierwszych był właściciel majątku Brzuzyc Wielka, podolski inowłodzki Walenty Chobryński. W 1782 roku w lasach swoich dóbr założył on osadę olederską Rudę. Wiedomość o drugiej osadzie powstałej w tych dobrach, zwanej Bugaj, spotykamy dopiero w 1788 roku. Ruda należała do największych wsi olederskich. W 1789 roku było w niej 18 gospodarstw. Bugaj w tym czasie liczył 8 domów. Niemal równocześnie z założeniem

Rudy, bo w 1783 roku, na zachód od Łodzi na terenie posiadłości Srebrna powstała kolonia olederska o identycznej nazwie, założona przez Benedykta Olszewskiego. Przybysze zajęli lasy i łaki okolicznych wsi, mimo sprzeciwu ich mieszkańców.

Niewiele później powstały dwie wsie olederskie w okolicy Zgierza. Na północ od tego miasta, w miejscowości zwanej Słowik, osiedlono w 1784 roku grupę przybyszów z Zachodu. Obszar ten wchodził w skład majątku szlacheckiego, będącego wówczas w posiadaniu Jana Szczepańskiego. Druga osada olederska Szwedów, założona w 1789 roku, położona była na wschód od Zgierza. Stanowiła ona własność Tadeusza Błociszewskiego, generała-majora wojsk koronnych.

Do najwcześniej powstałych należały także trzy wsie olederskie, umiejscowione w dobrach pabianickich kapituły krakowskiej. Wśród bagien i lasów ciągnących się od Pabianic do Dobrońska, założona została w 1784 roku osada Chechło. Nazwa określająca to miejsce była już w użyciu od paruset lat, jednakże od tego czasu stanowiło ono pustkowie. Na południe od Chechła powstała około 1780 roku druga wieś olederska Pawlikowice. W 1792 roku w pobliżu Pawlikowic osiedlono oledów w lasach Rydzyn.

Przed drugim rozbiorem Polski na obszarze dzisiejszej Łodzi powstało pięć osiedli olederskich. Najstarsze z nich, Dąbrowę Chojęńską, założył w 1789 roku właściciel Chojen. Benedykt Górski. W rok później na gruntach dóbr chojeńskich córka Górskiego, Izabella Walewska, lokowała osiedla Górki Stare i Kowalewskie. W tym czasie posiadał majątek Mieszek, Jan Kanty Stekiewicz, na połonnych gruntach położonych na południe od Mieszek założył wieś olederską, nazwaną za k-

mienia jej założyciela Janowem. W 1793 roku, z inicjatywy właściciela dóbr radogoskich, burgrabiego łęczyckiego Mateusza Strzałkowskiego, tuż za północno-zachodnią granicą ówczesnej Łodzi, na miejscu wyciętego lasu, powstała kolonia olederska Żabieniec.

W okresie porzoborowym, bo w 1796 roku, właściciel dóbr Kuty — J. Wyrzykowski, osadził 18 kolonistów na terenie lasów Grabieniec. W dwa lata później w zachodniej części majątku Stoki, należącego do Antoniego Saryusza-Stokowskiego, założona została kolonia Antoniew. Zaliczała się ona do największych osad tego typu w okolicy i liczbą ludności dorównywała ówczesnej Łodzi.

W wyniku drugiego rozbioru Rzeczypospolitej Łódź z okolicą znalazła się pod panowaniem pruskim. Administracyjnie obszar ten wcielony został do nowej prowincji zwanej Prusami Południowymi. Władze pruskie, usadowiwszy się na zagrabionej ziemi, z miejsca przystąpiły do zaprowadzenia własnych porządków, przede wszystkim zaś do kolonizacji tego obszaru przez przybyszów z głębi Niemiec. Zwróciły one szczególną uwagę na teren podlódzki, ciągle jeszcze słabo zaludniony, w znacznej części pokryty lasami, a więc doskonale nadający się do celów osadniczych. Nie bez znaczenia był tu fakt, że po sekularyzacji dóbr kościelnych spory obszar podlódzkiej gruntów znalazł się w posiadaniu państwa pruskiego.

Pierwszym etapem pruskiej akcji kolonizacyjnej na terenie Puszczy Łódzkiej było założenie w 1800 roku na miejscu lasu i pastwisk należących do Rzgowa osady Effingshausen, zaświadczony przez Szwabów w większości wywodzących się z miejscowości Effingen. Stąd wzięła się nazwa osiedla. Wiek ten w późniejszym czasie przezwano Starą Górą. Następną osadą założoną w tym czasie przez Prusaków na terenach połączonych dawnymi borów kłudzkiego był Ołędry Wiskickie, nazwane później

Olechówem. Około 1802 roku w pobliżu wymienionej wsi powstała kolonia szwabska Friedrichshagen. W czasach Księstwa Warszawskiego otrzymała ona nazwę Augustów, przypuszczalnie dla uczczenia króla saskiego i zarazem księcia warszawskiego, Fryderyka Augusta.

Głównym punktem osadnictwa pruskiego w okolicy Łodzi miało być duże osiedle rolne Neu-Susfeld (obecnie Nowosolna), założone w latach 1802–1803 wśród rozległych lasów rządowych na wschód od miasta. W przyszłości osada ta miała stać się nowym ośrodkiem administracji pruskiej szczebla powiatowego. Na uwagę zasługiwało rozplanowanie Nowosolnej. Z centralnie położonego placu wybiegały promieniste osiem dróg, wzdłuż których stały zabudowania osadników pochodzących z miejscowości Sulzfeld. Należeli oni do protestanckiej sekty religijnej menonitów. Według współczesnego zapisu „powstała osada czysta, schludna, skromna i trzeźwo żyjących ludzi”.

Założenia pruskie przewidywały, że liczba gospodarstw w Nowosolnej wyniesie ponad pięćdziesiąt. Przewidywania te okazały się zbyt skromne, gdyż już w chwili zakończenia okupacji pruskiej było tu znacznie więcej gospodarstw niż zakładano. Także pomysły nie wzrastała liczba mieszkańców Nowosolnej, przy czym w pewnym okresie czasu przekraczała ona liczbę zaludnienia dobrze rozwijającej się Łodzi. Nowosolna stała się nadektem największym skupiskiem Niemczyzny w całej okolicy.

Władze pruskie nie poprzestały jednak na tym, rozszerzając zasięg osadnictwa na dalsze tereny. K 1803 roku na wschód od Nowosolnej powstały trzy szwabskie osiedla: Wiczyń Górny, Wiczyń Dolny i Wiczyń Nowy, a w stronie południowej — Andrzejów.

Księka Prus w wojnie z Napoleonem i położyła kres kolonizacji pruskiej w Puszczy Łódzkiej. Obszar ten wszedł w skład utworzonej w 1807

roku Księstwa Warszawskiego. Co prawda po przerwie spowodowanej działaniami wojennymi proces osadniczy na tym terenie nadal był kontynuowany, ale już na niewielką skalę i to na gruntach prywatnych. W tym czasie powstały tu dwa osiedla rolne: Andrzejów założony w 1807 roku i Justynów lokowany w 1811 roku. Założycielem ich był właściciel majątku Bedo, Jan Suchecki.

Warto zwrócić uwagę na nazewnictwo nowo zakładanych osiedli. Jeżeli lokowane były na gruntach istniejących już wsi, przeważnie przejmowały ich nazwy. W innych przypadkach osiedla te miały swe brzoły od imienia założyciela, lub też któregoś z członków jego rodziny. W okresie rządów pruskich nowe osiedla otrzymywały z reguły nazwy niemieckie, niejednokrotnie wywodzące się od nazwy miejscowości pochodzenia osiedleńców. Po zakończeniu okupacji pruskiej niemieckie nazwy osiedli zostały spolszczone.

Osadnictwo olederskie, jak i późniejsze pruskie, w dużym stopniu wpłynęło na podniesienie się kultury rolnej w okolicy Łodzi. Dzięki niemu rozszerzył się obszar ziemi uprawnej i pastwisk, zwiększyła się hodowla bydła i trzody. Gospodarstwa osadników wolnych od pańszczyzny, obciążonych jedynie niebitym wysokim czynszem, różniły się od gospodarstw chłopów pańszczyźnianych większą ilością posiadanej ziemi, porządniejszymi zabudowaniami, licznym inwentarzem żywym i martwym.

Niemieccy osadnicy rolni, żyjący w przeważającej części w odrębnych osiedlach, niemal całkowicie izolowanych od polskiego otoczenia, słabo podlegali wpływom polonizacyjnym. Wydaje się, że ich asymilacja hamowała także nowa fala osadnictwa, tym razem przemysłowego, jaka dotarła w okolice Łodzi w pierwszej połowie ubiegłego stulecia.

WACŁAW PAWLAK

ODGŁOSY 7



Fragment wystawy „Wazy i wazony”

Foto: Muzeum Sztuki

Dalszy ciąg ze str. 1

ktach — o podstawowym znaczeniu dla przyszłego kształtu muzeum — jest to jednak obraz zbliżony.

Pierwszym punktem jest stosunek do tradycji, z której muzeum wyrosło. Jest to tradycja polskiego konstruktivismu, którego początki związane są z Łodzią. Z inicjatywy jego twórców — a szczególnie Władysława Strzemińskiego — uformowana została w 1931 roku podstawa dzisiejszych zbiorów — kolekcja sztuki nowoczesnej zbierana przez lata w kraju i za granicą i przekazana muzeum (wówczas jeszcze Miejskiemu Muzeum Historii i Sztuki) przez grupę „a.r.” (artyści rewolucyjni). Był to początek jednej z pierwszych w świecie stałych wystaw muzealnych sztuki nowoczesnej. Faktem tym skromne, prowincjonalne muzeum awansowało do arystokracji światowego muzealnictwa.

W myśl założeń ofiarodawców, rozwijanych przez organizatorów muzeum (z pierwszym, wieloletnim jego dyrektorem Minichem na czele) kolekcja ta miała cel dydaktyczny. Była przeglądem najwspanialszych odkryć ówczesnej sztuki. Miała służyć przybliżeniu mieszkańcom Łodzi, i nie tylko, systemu rozwojowego sztuki nowoczesnej. Twórcy kolekcji wzorowali się tu poniekąd na muzeach powstałych po rewolucji radzieckiej. Opierały się one jednak na działalności artystów jednego kraju, podczas gdy grupa „a.r.” uznała za niezbędne prezentowanie sztuki nowoczesnej w wymiarze międzynarodowym. Ta linia pokazywania sztuki jest dziś przez muzeum kontynuowana.

Przywódca „a.r.”, Władysław Strzemiński wiele razy (m.in. w komunikacie nr 2 „a.r.” i na łamach „Formy”), wypowiadał pogląd, że sztuka jest najwyższą formą zabawy i odpoczynku. To rozumienie sztuki znalazło wyraz w działalności wielu zachodnich muzeów; bliskie jest też ideałowi łódzkiego.

Ideal ten wiąże się z odejściem od starej formuły muzeum — jako „świątyni”, „mauzoleum” dzieł sztuki, w kierunku muzeum otwartego, „forum” spełniającego wiele funkcji, nie tylko — rozumianą „po szkolnemu” — dydaktyczną. Zakłada on możliwość swobodnego, bezpośredniego obcowania ze sztuką, jako sposobu odprężenia, rekreacji, w specjalnie zaprojektowanym, wielofunkcyjnym wnętrzu, gdzie sztuka

nych możliwości tworzenia — w odpowiednio urządzonej i wyposażonej pracowni i gabinecie, często na oczach publiczności. Z funkcją dydaktyczną i twórczą spójna powinna być trzecia — funkcja muzeum jako centrum badań naukowych nad sztuką nowoczesną.

Taka jest — w olbrzymim skrócie — wizja nowoczesnego muzeum sztuki. O jej realizacji marzą od wielu lat pracownicy muzeum i zwią-

znajdowałyby się jak gdyby w zasięgu ręki, w otoczeniu zieleni, w sąsiedztwie biblioteki, sali kinowej i teatralnej, kawiarni, dając ludziom okazję spędzenia całego dnia w świecie kultury. Wizja ta odbiega od modelu muzeum, złożonego z ciągu amfiteatrów sal, pełnych uporządkowanych arbitralnie i oddzielonych od widza gablot, które ogląda się w filcowych pantoflach i z charakterystycznym nabożnym skupieniem. W owym muzeum kontakt ze sztuką odbywałby się nie za wskazującymi kierunek strzałkami, niejednokrotnie, lecz poprzez swobodny, nieprzymuszony ruch w przestrzeni, spokojną kontemplację nakładających i równoległe rozwijających się rozmaitych śladów działania artysty. W nowym muzeum — oprócz zwiedzania ekspozycji historycznych już zamkniętych dzieł sztuki — mieliby widzowie również możliwość uczestniczenia w powstawaniu rodzącej się na ich oczach twórczości. Inną ważną funkcją nowoczesnego muzeum sztuki powinno być bowiem służyć artystom jako instrument, warsztat, jako miejsce dyskusji i spotkań, praktycznie nie ograniczo-

zani z nim artyści, krytycy, teoretycy sztuki. Był moment, gdy wydawało się, że wizja ta wyjdzie z głów fantastów i przybierze kształt rzeczywistości właśnie tu, w Łodzi, która z racji swych tradycji plastycznych i zbiorów dzieł, niemal predestynowana jest do tego, by posiadać nowoczesne centrum sztuki. Był to jednak tylko moment, a piękna idea zasilila liczna dziś kolekcję różnych „szklanych domów”.

Życie łódzkiego muzeum toczy się zaś nadal

ZA „OBITĄ TWARZĄ”

Gdy z pewnego oddalenia patrzy się na pałac u zbiegu Więckowskiego i Gdańskiej, narzuca się nawet wrażenie pewnej reprezentacyjności i elegancji. Pryszka ona, gdy przyjrzymy się przypominającej „obitą twarz” fasadzie. Czy wypada, by miejsce, gdzie ma się chronić zabytki, uragało wyglądem idei, której służy?

Strach przechodzić pod tym gmachem: leca z niego w dół kawałki balkonów i grzymsów. Dwa razy już z troski o przechodniów — musiał gościć się konserwator zabytków na obłuczeniu balkonowych balustrad.

Liste słabości tego gmachu łatwo jest zacząć, lecz wyczerpać — trudno. Gdy w 1948 roku wkroczało tu muzeum, niepotrzebne mu były XIX-wieczne sale zdobne w plafony, boazerie i lustra. Ściany przykryto więc drugimi, z białych prefabrykatów i — choć gdzieś niedługo pozostały oryginalne drzwi — niewielu zwiedzających zdaje sobie sprawę z wystroju, jaki mają te wnętrza.

Z czasem wygospodarowano miejsca na pracownię, bibliotekę i pokoje kustoszów, przyłączając sąsiednie oficyny, a pałac przeznaczając na ekspozycję. Przerobiono również piwnice, które od tamtąd miały służyć jako magazyny dzieł sztuki. Są one dzisiaj najważniejszym miejscem muzeum. Tu bowiem znajduje się 95 proc. eksponatów (ponad 9 tys. sztuk). Niestety, inaczej niż w wielu nowoczesnych muzeach, magazyny te nie nadają się do udostępnienia widzom. Są wilgotne; „grzyb” czuje się tu od progu. Przez część z nich — nad zbiorami — przebiegają rury wodociągowe. Nietrudno wyobrazić sobie co by się stało w wypadku pęknięcia którejś z nich.

W części piwnic jest centralne ogrzewanie. — Zimą można wytrzymać — mówią magazynierzy. Ale gdzie indziej latem nie wystarczą piecyki akumulacyjne. Latem jest tu najzimniej. Trzeba się do pracy ubierać w kożuchy.

Pałac leży w niekorzystnym mikroklimacie. Z okolicznych fabryk dochodzą wiewiwy szkodliwych substancji chemicznych, choćby słarsku węgla. Tymczasem w zabytkowym pałacu nie można już rozbudowywać klimatyzacji. Ponoć koszty tego przedsięwzięcia byłyby nieproporcjonalnie do ewentualnych efektów. Z powodu działania „chemii” dzieła sztuki gotyckiej są wciąż w

konserwacji. Po dwóch, trzech latach trzeba je zdejmować ze ścian i odnawiać. Tak samo jak malować ściany sal wystawowych, dokąd docierają pyły z ulicy i fabryk.

Wielkie zagrożenie stwarzają instalacje elektryczne, wodne, gazowe... Nie ma planów wielu z nich, nieznany jest ich przebieg. Ni stąd ni z owąd spod obrazu w galerii wytryska woda; coraz częściej zdarzają się zwarcia. Instalacje nie były dotąd wymieniane.

Do Działu Nowoczesnej Grafiki i Rysunku idzie się po drewnianych schodach, na poddasze jednej z oficyn. Pachnie tu stęchlizną, z murów obłazi tynk, przy drzwiach wybaluszone gniazdko elektryczne świeci gołymi końcówkami przewodów.

— Pracujemy w pokoju, w którym jest jednocześnie magazyn nowoczesnej grafiki: około 3,5 tysiąca jednostek — mówi kustosz dr Janusz Zagrodzki, wskazując na stłoczone w niewielkim pokoju, obok biurka, szafy. — Instalacja elektryczna jest jeszcze XIX-wieczna. Jeśli w nocy wybuchnie pożar, nie będzie szans uratowania zbiorów. Podłogi są na drewnianych belkach, wszystko wypali się jak zapalki...

W pracowni konserwatorskiej — dawnym mieszkaniu pałacowej służby — miejsca akurat tyle, by przy ścianie przecisnąć się wokół dużego stołu. — Wykorzystujemy każdy kątek — zapewniają mnie pracownicy. Cóż im pozostaje?

Na piętrze zamknięto trzy sale wystawowe i zrobiono magazyn. Leżą tu na podłodze obok siebie rzeźby Broniatowskiego i gotyckie madonny.

O zabezpieczeniu przeciwwłamaniowym — pisałem w „Wielkim skoku” (ODGŁOSY nr 31).

To jeden blok problemów, związany z przechowywaniem zbiorów. Sprawa druga, to ekspozycja dzieł.

talny remont, pierwszy w jego historii. Ale

MUZEUM URATOWAĆ MOŻE TYLKO NOWY GMACH

Zdając sobie z tego sprawę, od lat z górą piętnastu dyrekcja kołacie o budowę nowego obiektu.

Wydawało się, że idea budowy pierwszego w Polsce Ludowej gmachu muzeum „chwyciła”, gdy w maju 1969 roku Egzekutywa KL PZPR podjęła uchwałę o konieczności budowy nowego muzeum. Bardziej realnych kształtów idea ta nabrała jednak dopiero w kilka lat później, w związku z obchodami 600-lecia nadania Łodzi praw miejskich i 150-lecia Łodzi przemysłowej. W 1972 roku uzyskała akceptację władz miasta i Ministerstwa Kultury założenia konkursu na projekt nowego gmachu. Firmował ten konkurs muzeum i SARP. Rok później spośród 40 prac pierwszą nagrodą obdarzono dzieło 24-letniego absolwenta Wydziału Architektury inż. Jana Fiszerę z Warszawy. Równocześnie przyznano muzeum teren pod budowę nowego gmachu: pięć hektarów w Parku na Zdrowiu. Muzeum miało stać się jednym z głównych elementów Parku Kultury i Wypoczynku, z którego powstał w końcu tylko zespół basenów i pomnik (nie licząc prowizorycznego „wesołego miasteczka”).

W 1975 roku dyrekcja Inwestycji Miejskich (zastępcy inwestor muzeum) podpisała umowę z Biurem Projektowo-Badawczym „Miestoprojekt” na opracowanie szczegółowej dokumentacji przyszłego obiektu, zgodnie z ideą pracy zwycięzcy konkursu. W związku z podjęciem prac projektowo-przestrzennych zorganizowano pobyt studyjny w kilku krajach zachodnich czterech specjalistów z dziedziny architektury, konstrukcji, konserwacji i klimatyzacji.

SKAZAZNI NA PAŁAC

Z 489 dzieł w 1931 roku zbiory muzeum powiększyły się do przeszło 8.600. Obok sztuki nowoczesnej jest tu dawna, historyczna oraz artystyczna rzemiosła (o czym czasem się zapomina, a przecież dział sztuki dawnej zajmuje ponad połowę stałej powierzchni ekspozycyjnej). Ale obecna siedziba nie pozwala na równoczesną prezentację wszystkich dzieł. Częste zmiany są nieuniknione. Żeby robić wystawy czasowe, trzeba likwidować kolejne części ekspozycji stałej. W dodatku istniejący ciąg komunikacyjny narzuca charakter wystawom i jeden kierunek zwiedzania.

Wszystko to ogranicza możliwości aranżacji wystaw. I co tu marzyć o rozsiewanych ścianach, specjalnym oświetleniu: najprostszym urządzeniach zachodnich muzeów! Po to by się przekonać jakie mogą to być możliwości, nie trzeba jechać do Paryża. Wystarczy pojeźdź na wystawę jubileuszową do Muzeum Sztuki, gdzie eksponowane jest zdjęcie sali w paryskim Muzeum Galliera podczas zorganizowanej przez łódzkie muzeum w 1969 roku reprezentacyjnej wystawy „Polskie malarstwo nowoczesne — źródła i poszukiwania”. To jest galeria z prawdziwego zdarzenia!

W pałacu Poznańskich nie ma nie tylko odpowiedniej galerii, także — sali kinowej i mogącej pomieścić więcej osób prelekcijnej, nie mówiąc już o wyposażonych w urządzenia audiowizualne gabinetach. Brak więc tu nawet zaplecza dla szerzej zakrojonych działań oświatowych, które silą rzeczy szukają ujścia na zewnątrz, w szkołach i przykładowych domach kultury.

Od wielu lat muzeum występuje o przyznanie dodatkowych pomieszczeń. Oprócz pałacu Herbsta (gdzie zresztą remont wlece się w nieskończoność) przeznaczonych na filię Muzeum Sztuki (rzemiosło artystyczne), nie udało się znaleźć w Łodzi wystarczająco obszernego i nie wymagającego zarazem kosztownych i długotrwałych przeróbek gmachu, który odciałyłby muzealne magazyny. A pomysły były różne. Przypomniemy sobie o przebiegu pobliskiej szkoły, sąsiednich kamienic, a ostatnie pofabryczne hale w parku Źródlika. Władze miasta nie wykazały tu wystarczającej energii. Podobnie rzecz się ma zresztą z magazynami dla Teatru Wielkiego. Obiecywano je wszystkim dyrektorom...

Od przeprowadzki w gorsze warunki — z dwójga złego — lepszy jest remont pałacu. Muzeum stara się o to od lat, lecz zawsze władze miasta wycofywały ten remont z planu, tłumacząc się brakiem środków albo wykonawców.

W przyszłym roku jednak remont ma ponoć ruszyć. Zapytany o zakres prac dyr. Ryszard Brudziński podaje: wymiana instalacji, malowanie oraz odnowienie elewacji. Nie wiadomo czy nie trzeba będzie także wymienić stropów. Pokażą to eksperzy.

Pałac może jeszcze uratować kapi-

TOMASZ SOLDENHOFF



Rzeźby Zbigniewa Pronaszk

Foto: Muzeum Sztuki

MIECZYSLAW MICHAŁ
SZARGAN

ZIMNE SŁOŃCE

Pamięci Michała Sprusińskiego

Przyszła wiadomość w ramce nekrologu z Grecji starej młoda śmierć. Nagle śpiewu w zielonych liściach ubył. Słońce nie miało tu nic do powiedzenia. Nie zatrzymało nadchodzącego cienia. Uśmiechniętej zgrzyliwie kościastej postaci. Morze z pała ślad ciepłej stopy. Rdza pokryła w ojczyźnie śnieżysty bez.

TREN

O jaskółko na tarczy nieba za moment

wskazówka cię zabije.
Wodo, wodo, zanurz biały brzuszek.
Ziemio, ziemio, obłęd świat.

O śmigulko na tarczy chmury spadłaś już z jego
żreńcy.

Niebo, niebo, wołam cię wracaj.
Wodo, wodo, błagam cię płacz.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

SPOKÓJ

Tak potężne zjawisko historyczne nie staje się przez to bardziej zrozumiałe, że się je zwalcza lub zarzuca.

Nowoczesna pewność spokoju pod względem sposobu zarzucania idei, które uznają istnienie spokoju obok lub ponad spokojem pozytywnym, znajduje się na tym samym poziomie co ci, którzy dzielą niebo na prawdziwe i nieprawdziwe, co oczywiście czyni z góry niemożliwym historyczne zrozumienie całości zjawisk niebieskich. Nowoczesnej pewności spokoju brak tego, co przez samo stwierdzenie pozytywnego charakteru spokoju zastąpić się nie da, mianowicie bardziej w głąb sięgających doświadczeń o siłach tworzących spokój. Zadowala się ona wskazywaniem przyzwyczajenia i dekretów z idei spokoju, mało dbając o to, poza kilkoma ogólnikami, jakie to siły kierują biegiem tych źródeł.

Wielkie pytanie zasadnicze: jak się staje niepokój spokojem? spokojnie pozostawiają spokojnie filozofom, którzy rozwiązaniem tego zagadnienia bądź to ignorują, bądź też ośmieszają.

A jednak należy poznać istotę sił tworzących spokój, zanim będzie można odróżnić trafnie spokój od tego, co już spokojem być przestało, i tego, co jeszcze nim nie jest.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Ponieważ wszelkie czyny zmierzają do pewnych celów, wskazujemy cechy charakterystyczne świętych pożytecznych, którym oni służą. Cele te dadzą się łatwo uzgodnić. Bezsprzecznie celem świętych pożytecznych jest ochrona i utrzymanie (w pewnych granicach także popieranie) dóbr ludzkich lub interesów przez wykonywanie pewnych czynów lub też postrzymywanie się od nich.

Nawet jeśli zakreśla się świętym pożytecznym dalsze jeszcze cele, należy uznać wymienione wyżej za najbliższe, bezpośrednie. Lecz ten cel zachowawczy właściwy jest do pewnego stopnia także innym, oddziaływającym na wolę człowieka wielkim potęgą społecznym, nie może być więc uważany za wyrażającą cechę charakterystyczną świętych pożyteczności. Istotnym sprawdzianem może być tylko rodzaj samych norm świętych pożytecznych. Normy te wykazują następujące istotne właściwości:

1. są to normy dotyczące zewnętrznych zachowań się ludzi względem siebie;
2. są to normy ustanowione przez autorytet uznany na zewnątrz działający;
3. są to normy, których przestrzeganie jest zagwarantowane przez czynnik władzy zewnętrznie działający.

Dzięki tym właściwościom różnią się normy świętych pożytecznych od norm kapłanów, wychowawców i sąsiadów, którym brak jednej lub drugiej z cech wymienionych. Nieodzowną cechą każdej świętej pożyteczności jest jej ważność. Postanowienia świętych pożytecznych stają się wówczas dopiero świętą pożytecznością, jeśli są ważne. Święci pożyteczni nie będący lub też święci pożyteczni, którzy mają dopiero uzyskać swoją ważność, nie są świętymi pożytecznymi w istotnym znaczeniu tego wyrazu. Norma nabiera mocy świętej pożyteczności, jeżeli staje się zdolna do oddziaływania na wolę jako jej bodziec. Ta zaś zdolność wypływa z pierwotnego przekonania, że obowiązani jesteśmy do niej się stosować, oczywiście tym samym ważność poszczególnego postanowienia świętego pożytecznego nie podlega jakiegokolwiek subiektywnej samowoli.

Fakt świętej pożyteczności polega zawsze, ostatecznie, na przekonaniu o jej ważności. To jest dopiero czysto subiektywny czynnik, na którym opiera się cała przestrzeń porządku świętych pożytecznych. Jest to nieodzowny wynik poznania, że święta pożyteczność mieści się w naszej istocie, że stanowi funkcję sprawiedliwej wspólnoty i opierać się musi na czynnikach czysto wewnętrznej natury. Ważność świętej pożyteczności gwarantuje jej psychologiczną skuteczność. Tak święty dom powstaje ze zwykłego, z którego nie mamy zresztą mniej-szego pożytku.

Antoni Piżmak stał przed niemal gotowym już swoim grobowcem. Cisza otaczała go wszędzie, przerywana czasem skrzypleniem starej cmentarnej studni. W samej rzeczy jest ona stara. Powiadają, że liczy ze 160 lat! Wyszczerebiona, niziutka cembrowina, spróchniała drewno wałca i zarty rdzą łańcuch, dziurawe wiadro, choć jak się szybko pokręci to i wody można w nim nabrać. A ileż ofiar ona już pochłonięła! Ponoć wpadł do niej sam książę Hieronim Tyniecki z małżonką. Ale najbardziej wstrząsająca historia zdarzyła się tutaj jedenaście lat temu, kiedy potopiła się cała rodzina Bartka Cieślaka tzn.: on, Hanka — jego żona i sześciorgo dzieci; najstarszy chodził już do Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Korytach i miał się kształcić dalej. Ostatnio utonął kierownik z „Wydmoru”.

tem krzyk mógłby być wyższy i powinien coś wyrażać tylko co

KRZYSZTOF BIELECKI

Śmierć
Antoniego Piżmaka

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Antoni Piżmak całe życie oddał śmierci.

Chciał dobrze umrzeć, tak pięknie. Pragnienie to zrodziło się wcześniej.

Antoni Piżmak uczył się słabo. Dwa razy nie zdał, wagarował. Dziewczatom też się nie podobał. „Z takim nochałem” — drwiły sobie ze śmiechem. Wtedy Antoś odchodził w kącie i poplakał, nieraz zrywał się, pedził do łazienki i gapił w lustro. „Och” — jęczał walił się w ten swój nieszczęsny nos, jakby siłą chcąc go zmniejszyć. Ale nic. Nos pozostawał taki sam, a na domiar złego robił się czerwony. Kiedyś rozszłoszczony Antoś rzucił w lustro butem i został na tydzień zawieszony w czynnościach ucznia „za brak szacunku dla dóbr społecznych”.

W tych okolicznościach trudno było przypuszczać, by Antoni Piżmak nie spostrzegł, iż los nicyzm szczególny go nie obdarzył, a w zasadzie biorąc pod uwagę ciała — nicyzm, dlatego życie jego nie może być piękne ani wielkie.

I kiedy usłyszał raz w telewizji, że każdy musi umrzeć, podchwycił tę myśl

każdy musi umrzeć mówiła słodka aktoreczka owszem zgadzał się aktor a potem długo się całowali później byli już całkiem gdzieś indziej w domu towarowym albo teatrze albo jechali pięknym samochodem a może byli tylko w innym hotelu nie pamiętam wiem na końcu go zabili ale nie naprawdę bo to był aktor i oni też. Antoni Piżmak liczył wówczas 27 lat. Pracował, niekiedy myślał:

„Wszyscy umierają mniej więcej jednokowo, a przecież różnie... Bo np. Józef powiesił się, a babka Genowefa umarła ze starości, znowu stryj Anatol zginął na polu chwały. Hm... każdy by tak chciał jak stryj Anatol, ale teraz nie ma wojny. On to musiał mieć piękną śmierć... Leżał sobie z rozwaloną piersią i przechodził jakiś oddział wojsk. I zobaczył go. „Pochować!” — rozkazał podporucznik. I pochowali stryj Anatola, zrobili mu krzyż z brzozy, piękne są takie krzyże, na nim powiesili jego czapkę. A swoje też zajęli jak już skończyli robotę. Potem oddali jeszcze salwę z karabinów, ze wszystkich. I poszli. Piękna śmierć...”

W czasie pokoju też można dobrze umrzeć. Najłatwiej to zapracować sobie życiem, jak czasem pokazuje w telewizji: tłumy ludzi, przynębieni, czoła schylone pokornie, Chopin, czarna garnitura, np. jak umrze pisarz, najbliżsi, bogate wieńce, żywe kwiaty, długa aleja, potem jeszcze przemówienia, słowa...”

Antoni Piżmak pragnął umrzeć dla siebie. „A dla kogo ja mam umierać? Co mnie obchodzi ci ludzie, którzy przyjdą na pogrzeb, albo zapalą świeczkę na Wszystkich Świętych, no co? Przecież ja i tak nie będę czuł, bo nie będę żył...”

Antoni Piżmak żył bardzo skromnie. Większość pieniędzy odkładał na następujące cele:

1. Łóżko śmierci (tu również: biała pościel, na ścianie drogi kilim) — tapczan dwuosobowy typu „Standard”-+
2. Eleganckie czarne ubranie „Bytom”-+
3. Trumna dębowa „Mariola”.

Antoni Piżmak spojrział w niebo.

— Dzień dobry, panie Antoś.

— A, to pan — odparł zaskoczony Antoni Piżmak, ujrawszy przed sobą człowieka w sile wieku, słusznego wzrostu, o ogorzałej twarzy, uśmiechniętego. Był to Marceli Duszel, grabarz.

— Wiesz pan, panie Antoś, mam nowy projekt grzebania. Znowu podwyższę mi premię, zobaczysz pan...

— A, a cóż to takiego? — dopytywał się wyraźnie zainteresowany Antoni Piżmak.

— Budować wysokościorowce — rzekł Marceli Duszel tajemniczo.

— Nie rozumiem.

— No, normalnie... Teraz w ogóle nie ma miejsca, nigdzie. Dlatego trzeba budować wielopiętrowe grobowce, wewnątrz klatka schodowa albo windy. No, rozumiesz pan?! — wykrzyknął grabarz i klepnął przyjaźnie Antoniego Piżmaka po ramieniu.

— A, ach, teraz...

— Tak... gdzieś indziej to pał — zadumał się na chwilę Marceli Duszel. — Może to i wygodniej, na pewno, ale tak palić człowieka... Ja tam bym nie mógł.

— Straszne — wyszeptał Antoni Piżmak i patrzył za oddalającym się szybkim krokiem grabarzem

uciec przed śmiercią to już umrzeć śmierć jest pragnieniem nieumierania lekkiem przed rozkładem ciała robakami które walczą o byt białymi kośćmi oczodolami czaszki jak ciemne otchłanie śmierć jest we mnie przecież nie ucieknę od siebie jest słowami które wypowiedziałem ave maria pokój jego duszy non omnis moriar bóg tak chciał śpij w pokoju memento mori dobrze będę pamiętał aż do śmierci

Antoni Piżmak posłyszał skrzywienie cmentarnej studni.

a może jest ona tylko mdłym płomykiem pierwszolistopadowym nieszczęsnym bartkiem cieślakiem dalekim sąrajewem drugą częścią sonaty be moll skrzypleniem studni

Marceli Duszel jest wyróżniającym się grabarzem w województwie. Solidny, sumienny, dla wszystkich zmarłych jednakowo dobry, wyrozumiały, darzący ich należym szacunkiem, potrafiący i pocieszyć i jak trzeba... skarcić. Aktywny na Międzynarodowych Konferencjach Grabarskich im. Jeana Grabarck'ę w Lozannie, na których przedłożył kilka swych pomysłów racjonalizatorskich rewolucjonizujących przemysł grabarski. Wielokrotnie odznaczany. Nie zapomina o najmłodszych: często bohater „Spotkań z ciekawym człowiekiem”. Wierzy w młodzież, której powtarza: „Przed wami życie”.

Antoni Piżmak wesoły wrócił do domu. Zjadł skromną kolację, pokrzątał się chwilę bez celu, wreszcie zasiadł przed telewizorem

jak podaje agencja reutera wojna na bliskim wschodzie zginęło dwudziestu czterech komandosów prezydent stanów zjednoczonych złożył trzecie ziemie papież przyjął na audiencji katastrofa lotnicza miss piękności na rok niezidentyfikowane zwłoki sekta religijna pojawiły się boczny terroryści ostrzelali ambasadę halny w tatrach wczoraj rano zmarł charlie chaplin

Antoni Piżmak wygodnie drzemał w fotelu znudzony. Wtem: „Z ostatniej chwili. Wielkim, bezprecedensowym sukcesem zakończyły się badania grupy gerontologów z profesorem Haroldem Whitmanem na czele. Otóż wybitni kalfornijscy naukowcy opracowali lek przeciw śmierci. Nazywa się on pyrranium morsel i zażywa się go dwa razy w tygodniu przed snem. Profesor Whitman powiedział dziennikarzom m.in.: „Zawsze wierzyłem w człowieka, w wielkość jego życia, potęgę intelektu. Niech żyje Ludzkość, bo to ona jest wynalazczynią pyrranium, nie ja”.

Antoni Piżmak zblił. Bezmyślnie patrzył się w ekran, w radosne oblicze spikera

który nagle spowaźniał powstał i podszedł do mnie ujął za rękę

uśmiechnął się
pan pozwól

drgnąłem

stucham
jestem twoją śmiercią

poderwałem się

ale dlaczego
nie pytaj pójdz za mną

przelotnie spoglądałem na niego przystojny wzorowo ubrany dysyngowany podał sznur
dziękuję
potem zacisnął pięść chciałem podziękować nie mogłem
kopnął stołek
i pożegnał mnie miłym gestem

Dusza Antoniego Piżmaka natychmiast powędrowała do nieba. Niestety, czekała ją przykra niespodzianka. Przed Bramą Raju spotkała tłumy dusz, i 24 komandosów, i terrorystów, i żołnierzy izraelskich, i ofiar kataklizmów. Rozpoznała też śmiejącą się do rozpuku duszę Charlie Chaplina. Trzymała się za brzuch, wskazując jednocześnie samą Bramę. Dusza Antoniego Piżmaka z trudem do Niej dotarła. Zrozumiała. Widać Tam ogłoszenie:

„W związku z rozwojem nauki
niebo zamknięte aż do odwołania”.

Wyrażam wdzięczność red. G. Romanowskiemu (Głos Robotniczy, nr 45) za przedstawienie szczerzej niż ja własnej obrony projektu placu zabaw plastyczno-przestrzennych, który ma powstać w sąsiedztwie pałacu przy ul. Gdańskiej 107, przewidzianego na tzw. Muzeum Lalki. Zanim wtrąca swoje trzy grosze na temat placu, czuję się zobowiązany dokonać sprostowania. Otóż nieprawdą jest, że Muzeum Lalki „jest nadal tylko pomysłem, ponieważ nie przystąpiło do jego organizacji...” (według G. Romanowskiego). Placówka ta istnieje już od przeszło roku! Wprawdzie jeszcze nie w pałacyku, lecz w skromnym, tymczasowym lokalu przy ul. Moniuszki 5, ale w żadnym razie nie można jej zarzucić braku aktywności. Żeby już wszystkim zainteresowanym Centrum Kultury Dziecka było wiadomo jaką funkcję w nim będzie spełniał nowy ten obiekt muzealny i żeby mocno zaznaczyć, że niewątpliwie istnieje, przekazuje garść informacji o nas.

Organizację lalkarskiego muzealnictwa przyjęło na siebie Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi i na bazie ludowych zbiorów utworzyło Dział Widowskich Lalkowych, którego działalność nie ma nic wspólnego z przemysłem zabawkar-skim. Nas interesuje wyłącznie animowana lalka artystyczna jako postać teatralna, filmowa, telewizyjna. Pierwsza ekspozycja działu została otwarta już 8.II.1980 r. i była czynna do 15.I.1981 r., o czym donosiła wielokrotnie i sympatycznie łódzka prasa, a także krzychały kolorowe plakaty na ulicach. Skrócony cykl udostępnienia zbiorów publiczności był możliwy dzięki włączeniu się łódzkiego środowiska lalkarskiego, a więc Teatrów Arlekin i Pinokio oraz Studia Se-ma-for w organizację zbiorów i realizację wystawy. Szczególną przychylność, popartą udziałem w realizacji i funkcjonowaniu ekspozycji okazał Arlekin, duże usługi oddał nam Polski Związek Lalkarski Polunima w osobie przewodniczącego Henryka Ryla.

Dzieci odbierały wystawę entuzjastycznie, młodzież i dorośli z dużym zainteresowaniem i uznaniem dla naszej pracy (o czym świadczą liczne wpisy do księgi pamiątkowej). Nasze pierwsze doświadczenia w lalkarskim muzealnictwie niewątpliwie udowodniły jak bardzo atrakcyjnym i dotychczas niewykorzystanym eksponatem jest lalka widowiskowa, jak ważne ogniwo może spełniać w pro-

cesie rozwoju estetycznego dziecka i wychowania go dla kultury teatralnej. Tak więc już z perspektywy pewnych rezultatów, inicjatywę łódzkiego środowiska kulturalnego — powołanie takiego muzeum, należy ocenić jako wysoce kulturotwórczą, dalekowzroczną, cenną także w ekali krajowych potrzeb. Dział Widowskich Lalkowych jest pierwszą tego rodzaju placówką w Polsce, a jego działalność już w samym założeniu była pojmowana szeroko i ambitnie. Zbiory nie ograniczają się więc do środowiska łódzkiego lecz gromadzone są z całego kraju i obejmują nie tylko działalność teatrów zawodowych, ale także najbardziej twórczy dorobek teatrów amatorskich.

Podczas gdy we wszystkich sąsiednich krajach od dawna pracują placówki muzealne tego typu, u nas dotychczas prawie nie istniała ochrona artystycznego dorobku lalkarskiego. Teatry nie mając dostatecznego zaplecza wyzywały się lalkę lub po prostu je niszczyły, zniszcza ostatnio, na etapie licznych reorganizacji i zmian dyrekcyj. Tak więc w rezultacie spóźnionego (w stosunku do potrzeb) powołania lalkarskiego muzeum, straciliśmy dla kultury wiele wartościowego dorobku. Nie muszę przypominać jak bardzo cenną jest polska kultura teatralna za granicą, a w tym także nasze oryginalne i wysoce artystyczne lalkarstwo (jako dowód: już obecnie mamy propozycje wystaw poza granicami kraju). Toteż nie można pozwolić na dalsze straty. Stąd istnieje pilna konieczność pozytywnego załatwienia spraw etatowych i lokalowych Działu Widowskich Lalkowych, żeby nie hamować tego pełnego rozpedu, jaki został wzięty od początku działalności tej placówki. Czasowo zajmowany przez nas lokal spełnia warunki tylko dla początkującego stadium organizacji i lalkarskiego muzealnictwa i już na obecnym etapie rozwoju nie odpowiada potrzebom. Zobowiązanie Urzędu Miasta, że przekaze po roku na nasze cele lepszy lokal, pociągnęło za sobą intensywne gromadzenie zbiorów. Uzyskanie ich nie było takie łatwe na obecnym etapie jeszcze nieprzetartych szlaków i niedostatecznego pojmowania naszych celów. Pałacyk przy ul. Gdańskiej, zgodnie z planami urzędu, miał być przekazany nam na przełomie I i II kwartału br. Biorąc pod uwagę konieczność dokonania adaptacji i remontów lokalu, przyjęliśmy zaproszenie Państwowego Muzeum Etnografii Narodów ZSRR w Leningra-

dzie, które na luty i marzec użyczyło nam gościnie swoich okazałych pomieszczeń. Nasza wystawa polskich lalek widowiskowych, rozbudowana i urozmaicona w stosunku do ekspozycji łódzkiej „Od Turonia do Colargola”, zagrała w pełni urodę eksponatów w odpowiednich warunkach. Za tę urodę i fantazję artystyczną lalki polskie otrzymały przecież główną nagrodę na międzynarodowej wystawie scenografii w Pradze w 1979 r. Wprawdzie napływają do nas dalsze oferty na ekspozycje lalkarskie w kraju, a także zagranicę (w kwietniu wystawa czynna była w Tallinie a w czerwcu w Lipsku), ale nasze marzenia upoczywie i niecierpliwie krąży wokół obiecanego pałacyku przy ul. Gdańskiej. Pragniemy tam jak najszybciej zdomowić się i urządzić pokazy w miarę naszych

baśniowych eksponatów ku uciesze małych i dużych łodzian. Tym bardziej, że przedsmak tej dużej frajdy jaką można mieć z ekspozycji lalek widowiskowych mieliśmy już w lokalu przy ul. Moniuszki obserwując reakcje zwiedzających.

Zgodnie z profilem pracy muzealnej gromadzimy materiał do badań naukowych i zamierzamy popularyzować dorobek artystyczny teatrów i filmu lalkowego. Ponieważ nasze eksponaty są zarówno twórcami plastycznymi, jak i nośnikami treści literackich, poprzez muzeum można wspomagać działalność szkół, teatrów i filmu w rozwoju humanistycznym dziecka. W Łodzi jest tak dużo dzieci zaniedbanych, pozostawionych bez opieki, które należałoby przyciągnąć do kultury. Wyobraźnia widzę roziskrzona oczy dzieci nie tyl-

ko na wystawie, ale także podczas realizacji własnych przedstawień z lalkami zrobionymi własnoręcznie w muzealnej pracowni plastycznej, na podstawie własnych scenariuszy. Widzę je także w czytelni przy lekturze najpiękniejszych baśni z całego świata lub słuchaniu ich z płytoteleki, bądź poprzez opowiadającego w cyklach cotygodniowych baśni i legend różnych narodów i kultur. Cykl ten mógłby być urozmaicony małymi ekspozycjami np. ze zbiorów egzotycznych naszego muzeum. Można by także przypomnieć niektóre zeszłowieczne gry i zabawy towarzyskie na podtrzymanie wiedzącej kultury towarzyskiej...

I tu moja inwazja wyobraźni na pałac wykracza poza obręb tego obiektu. Niektóre programy zabawowo-artystyczne można byłoby prowadzić w plenerze otaczającym pałacyk. Uważam więc, że ta przestrzeń przylegająca do przyszłej siedziby muzeum powinna być zgodnie z tradycją podporządkowana funkcji pałacyku, tworzyć z tym obiektem integralną całość. Zgodnie z psychologią wieku dziecięcego przed zwiedzaniem należałoby umożliwić dzieciom nieco ruchliwej zabawy, żeby mogły efektywnie przejść w moment skupienia, uwagi. Jakże przydatny byłby wówczas ten kawałek wolnej przestrzeni, zagospodarowanej tylko przez bieżące elementy.

Projekt W. Karolaka (choćby z opisu red. Romanowskiego), w ogólnym zarysie wydaje się być rzeczywiste bardziej nowoczesną propozycją w tym zakresie. Umożliwia dziecku pewne próby twórczego działania zgodnie z naturalną ludzką tendencją, może nawet silniejszą u małego niż dorosłego człowieka, tkwiącego już w trybach powinności i nawyków. Np. korzystne z punktu widzenia poszerzonych funkcji przyszłego muzeum jest uwzględnienie licznych płaszczyzn do zamalowywania; stwarza to możliwość przenoszenia wrażeń z ekspozycji w rysunki. Wykorzystanie elementów architektury na placu zabaw poprzez stworzenie sugestii do działania dla dzieci również wydaje się być interesujące. Jednakże widziałabym na tym terenie jak najmniej stałych urządzeń, natomiast wiele elementów przenośnych i materiałów, z których dzieci próbowałyby budować swój własny świat, zmieniać — burzony i wznoszony na nowo.

Zaobserwowano w wielu krajach i ogłoszono w publikacjach, że place zabaw całkowicie zagospodarowane,

MARIA PINIŃSKA MAŁY CZŁOWIEK CZYLI INWAZJA NA PAŁAC



Foto: T. Karpinski

Moje poprzednie wypowiedzi poświęciłem problematyce nowych budynków projektowanych w zabytkowych ciągach ulicznych — tzw. plomb. Usiłowałem zwrócić uwagę na fakt jak trudno jest właściwie wkomponować je w zabudowę — tak by podkreślały, a nie tłumily jej charakter. Dziś chciałbym się zająć pewnymi aspektami modernizacji zachowanych budynków zabytkowych,

urlopu. Tak np. zlikwidowano wymieniony już wyżej sklep Wedla — jego autentyczne, stuletnie wyposażenie wywieziono w nocy do sklepiku na Nawrot. A sklep na Piotrkowskiej oślepia swą światłością: marmury, okucia, szkło...

Problem reprezentacyjnych kamienic przy Piotrkowskiej i kilku jej przecznicach zawiera w sobie elementy trzech zupełnie niezależnych

stem przebudować definicję konserwacji architektury, mówiącą o tym że jej podstawową formą jest użytkowanie, na rzecz — utrzymywania ciągłości społecznej odbioru. Użytkowanie zabytkowych budynków nie zawsze łączy się z opieką nad nimi, natomiast praktyki administracyjne zasiedlania zabudowań podworskich na wsiach lub wielkich kamienic miejskich dają oplatane resulta-

przeniesiony ze sfery dyspozycji politycznych i ekonomicznych w sferę życia społecznego. Bo czymże są — przykładowo — „akcje”: Toruń (na 500-lecie Kopernika), Zamość (na 400-lecie założenia miasta), Kraków (zabył doznał swego 1000-lecia), przy świadomości dopuszczaniu do niszczenia najbogatszego w zabytki Dolnego Śląska, którego jedynym nieszczeniściem jest, że budowali tu Niemcy, Czesi i protestanci! A z akcjami, to jak wiadomo: skończy się np. w 2000 roku rewaloryzacja Krakowa, trzeba będzie się od nowa brać za Toruń i tak da capo al fine.

A wstrzymujący dech w piersiach pomysł, żeby odcinki Piotrkowskiej między kolejnymi przeczniami miały sklepy tylko jednej branży, np. od Zielonej do Więckowskiego obuwie, od Więckowskiego do Próchnika kosmetyki, a do placu Wolności księgarskie. Całkowita beztroska i brak przeżytku świadomości przyzwyczajonych ludzkich, lokalnej tradycji, za to symetrii, jak mówił Tuwim idealną idylotów. Jak u Laskowika: „Panie, a tym skwer, co tu rano był, to un jeszcze jest?”

Ochrona zabytków to nie miliony przeznaczone na roboty remontowe, to istnienie wspólnoty mieszkańców, dla których nie przestają żyć odrestaurowane kamienice, dla których są nie tylko dekoracją, preparatem konserwatorskim. Coś takiego można jeszcze z rzadka zobaczyć we wsiach i małych miasteczkach, gdzie jeden zabytkowy kościół, czy ruina zamku, są wspólnym powodem do dumy i celem stałego, choć nie zawsze konstruktywnego, zainteresowania. To najlepsza szkoła lokalnego patriotyzmu, miejscowych tradycji i wyróżniających odrębności. To tworzy klimat miasta widoczny dla przyjezdnych i dla mieszkańców.

Właściwie ukierunkowanie ludzkich pragnień odnalezienia i czczenia własnego rodowodu jest autentycznym budowaniem w swym otoczeniu wartości społecznej, którą nazywa się kulturą. To, a nie tylko utrzymywanie i dotowanie zawodowej grupy pracowników kultury, artystów, odpowiedzialnych za jej upowszechnianie. Brzmii to tyle fantastyczne, co nieprawdopodobnie. Jeśli jednak właściwie rozumieć proces społeczny, który od sierpnia '80 trwa w naszym kraju, to sądzę, że jest to ruch zmierzający w tym kierunku. Umownie i szeroko nazwalibyśmy go ruchem konsumentów walczących z dyktaturą producentów. Konsumentem jest tu nie tylko klient sklepów spożywczych i przemysłowych, ale również teatrów, kin, galerii. Tylko taki świadomy, niezależny konsument może moralnie odrodzić naród. To nie telewizja będzie kształtowała gust odbiorców, ale odbiorcy kształ-

tują odpowiadający im program telewizyjny. Pierwszy tego przykład mógł stanowić Dziennik TP w dniach niepokoju o życie Ojca Świętego, jakże różniący się od minimalizowanych relacji z pobytu papieża w kraju w '79 roku.

I tu dochodzimy do trzeciej sfery negacji marmurowych parterów — kwestii tzw. wielkiej i małej sztuki, o której tak mądrze mówił na sesji Rady Narodowej m. Łodzi Benon Liberski. Na początek znów zacytujmy Viollet-le-Duca, tym razem z VI tomu Dictionnaire raisonné (s. 245): „Średniowiecze, które pozostawiło mało ksiąg, czy dyskusji o sztuce, lecz które samo było sztuką, potrafiło tchnąć ją w najbogatsze fasady i mury skromnego mieszkanka obywatela małego miasteczka; umiało kochać i szanować ją zarówno w skromnych jej przejawach jak i wspaniałych koncepcjach. Wiek, który chce manifestować swój gust w sztuce umieszczając tylko ornamenty, tracąc ogromne sumy, lecz który każdego dnia we wszystkich dziedzinach — pomina o elementarnych zasadach — nie ma w sobie nic oryginalnego; ten wiek chyli się ku upadkowi sztuki. Gdy epoka schodzi do tego dolnego poziomu w historii sztuki, jej wykonanie po trochu zabuza się; nie znajdując nie stara się związać z uprzywilejowanymi dziełami, koncentrując się na kilku punktach; jej barbarzyja posuwa się swobodnie. Buduje się nadal pałace, monumentalne gmachy, gdzie całe bogactwo jest nagromadzone bez porządku i rozumu, a kamieniczki małych miasteczek są tylko pospolite, śmieszne, jednolite i pełne wad konstrukcyjnych. Jedyna pociecha, która pozostaje dla umysłów zajmujących się sprawami sztuki, to przyszły osąd małości cywilizacji według jej budowl. Kiedy sztuka staje się tylko sprawą luksusu, dzień jej proskrypcji jest bliski.” W średniowieczu witalna moc sztuki manifestuje się we wszystkim; jej wyrażenie jest potrzebą wszystkich. Stare domy, które jeszcze przed kilkoma laty wypieły nasze starodawne miasta fransuskie i które zostały szybko usunięte dla nowych potrzeb, są tego żywym dowodem. Oczywiście nie chcemy zachowywać — wobec rozwijającego się dobrobytu klas średnich — szkodliwych dla zdrowotności publicznej butwiejących rudier; chcielibyśmy jednak móc znaleźć dzisiaj w prywatnych domach dowody rozumienia przez społeczeństwo sztuki i jego umiejętności szerszenia wszędzie jej ekspresji.”

Kwestia tej wielkiej i małej sztuki, czyli ucieczki tandety w luksusowość formy wiąże się jednocześnie z procesem polaryzacji odbiorów kultury. Jeśli tworzy się sztuka elitarna, bo droga, to i jej odbiorcami

TOMASZ HUBERT ORŁOWSKI

Karawaniarska uroda marmurowych parterów

które nadal jeszcze stanowią większą część łódzkiego śródmieścia.

Można by powiedzieć, że analogia między budownictwem plombowym a modernizacjami zabytkowych kamienic polega na tym, że w obu przypadkach chodzi o zachowanie elementu przeszłego układu, czy to urbanistycznego, czy architektonicznego. I tak zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku, nie wolno nadmiernie podwyższać standardu nowej inwestycji w stosunku do swej poprzedniczki. Nigdy ze zmodernizowanej obory nie będzie pałacu, a z lochu loggi. To samo powinno, moim zdaniem, obowiązywać i plomby — czemu dawałem już wyraz poprzednio.

A jak jest w rzeczywistości? Ie-kroć przechodzę w pobliżu Grand Hotelu, apteki i sklepu „dawnej Wedla” naprzeciw niego oraz miejskiego biura Orbisu i wielu im podobnych, zastanawiam się nad celowością stosowania na nich okładzin kamiennych. Bo w przeciwieństwie do chęci projektanta nie otrzymaliśmy przez to luksusu, a jedynie jego smutną imitację. Imitację, bowiem górne kondygnacje tych budynków przypominają, że sztyldowiecki zbity wapien, obiegowo zwany marmurem kieleckim, jest tylko parawanem, maquillagem wstydlwie zakrywającym prawdziwą twarz, jej wiek i defekty. Jest owszem konserwatorski pretekst dla tych pseudoluksusów — mówi się, że stosowanie w dolnej kondygnacji okładzin ze spoiwych kamieni chroni mur przed nadmiernym zawilgoceciem przez chłapiące samochody i i przed wysalaniem.

Odnoszę wrażenie, że jednak to usprawiedliwienie — niezależnie od jego merytorycznej oceny — stworzono dopiero po zmodernizowaniu kamienic. Stara, dobra zasada — najpierw strzelać, potem pytać... Gdy konserwator nie zgadza się ustąpić po dobroci, to niewygodną rzecz usuwa się w nocy albo w czasie jego

od siebie zagadnień. Pierwsze z nich i podstawowe, które każdy konserwator, czy historyk sztuki, jako naukowiec musi mieć za naczelną i niepodważalną, to kwestia prawdy. Kwestia przesłania, świadectwa materialnego, jakie stanowi budynek. Każde jego upiększenie, każdy fałsz, oddala nas od autentyzmu, daje dekorację teatralną. W konsekwencji prowadzi nas do daleko posuniętej demoralizacji. Bo jeśli idąc dalej powiedzieliśmy że każde fałszujące działanie konserwatora wzbogaca zabytek, moglibyśmy w końcu — przy poziomie umiejętności kombinatu budowlanego Pracowni Konserwacji Zabytków — zbudować sobie w Łodzi zabytek — np. gdański kościół Mariacki postawić na placu Wolności. Dlaczego nie? PKZ odbudowywały oryginał w Gdańsku, więc mają dokumentację, mają fabrykę cegły „gotyckiej”, wyuczonych fachowców, kłopot może być tylko z pieniędzmi.

Wielki architekt i największy IX-wieczny teoretyk i praktyk konserwacji zabytków, Eugeniusz Emanuel Viollet-le-Duc w swoim fundamentalnym dziesięciotomowym dziele „Dictionnaire raisonné de l'Architecture française du XI^{au} XVI^{siè}cle”, wydawanym od 1854 do 1868 roku, pisze: „Niech odbudują Partenon na wzgórzu Montmartre — zgadzamy się — Partenon w jego proporcjach, jego sylwetkę, jego dumny wdziek, ale bez Akropolu, bez nieba, horyzontu i morza Attyki, bez ludności ateńskiej; w końcu będzie to Partenon. Ale jak lew umieszczony w ogrodzie zoologicznym” (tom VIII, s. 487, wszystkie tłumaczenia w tekście — THO). Viollet-le-Duc myślał tylko o niestosowności przenoszenia zabytku z racji jego związku z otoczeniem geokulturowym. Miał to w sobie oczywiście element sprzeciwu wobec fałszowania dzieł. My jednak chcemy położyć cały nacisk na nieprawdziwość i wiążącą się z nią obecność, która jest zgnębiona dla społecznej recepcji dzieła. Skłonny je-

ty. Lepiej często przeznaczyć pałac, zgodnie z jego funkcją, do ogólnospołecznych celów reprezentacyjnych lub ekspozycyjnych, niż „wprowadzać doń mieszkalność”, jak mówi zawodowy żargon — z łazienką w kuchni lub na dwór.

Mógłbym wymienić całe zabytkowe zespoły miejskie, które stanowią naszą eksportową dumę, a których odrestaurowane kamienice zloną chłodem martwo, bo brak im obecnej życia społecznego. I na drugim krańcu Kraków, gdzie o każdej bez mała kamienicy można powiedzieć, kto w niej mieszkał, ile pokoleń związanych jest z tym samym mieszkaniem, jak długo istnieje ten sam sklep...

Wróćmy do Viollet-le-Duca; napisal tak we wstępie do Dictionnaire raisonne (t. VII): „To, co stanowi o narodowości, to więc, która łączy mocno różne okresy jej istnienia. Trzeba łączyć ludów, które zaprzeczają swą przeszłość, gdyż nie ma dla nich przyszłości.” Następuje zatem sprzężenie zwrotne — to dzieła przeszłych pokoleń ułatwiają identyfikację narodową obecnemu, a z drugiej strony tylko obecne pokolenie może utrzymać przy życiu i nadać życie pamiątkom po przeszłych. Ta fundamentalna prawda decyduje o fakcie, że nie obawiam się sądzić, że sprawa ochrony zabytków nie jest tylko marginesem działalności wyspecjalizowanych służb Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nie obawiam się posądzenia o przyczynkarstwo, gdyż właściwie gospodarowanie substancją zabytkową, w którym emocja musi gościć się z rozumem, stanowi podstawę wszelkich innych działań sacyjnych kultury narodowej. Właśnie w naszym stosunku do materialnych przejawów przeszłości skupiają się, jak w soczewce, doprowadzone ad absurdum decyzje administracyjne. To druga płaszczyzna osadu marmurowych parterów. Tu np. objawili się z całą bolesnością tak obecnie krytykowany centralizm zarządzania

nawet najbardziej urozmaicone, atrakcyjnymi urządzeniami, szybko są dewastowane i opuszczane przez dzieci. Natomiast uwielbiane są przez nich tzw. dzikie tereny (moje doświadczenia matki potwierdzają te obserwacje). Błąd w programowaniu placów polega na tym, że dorośli chcą dzieci ograniczyć do pustej zabawy, bezcelowego ruchu, bezpiecznych rygorów i podsuwają tylko wzorce uniformy, namiastki prawdziwej zabawy, które dziecko powinno przyjąć i dostosować się. Zapominają, że jest to mały człowiek z zakodowaną główną predyspozycją ludzką do przekształcania otoczenia na swoją miarę i według swoich możliwości. Mimo tej oczywistej racji próby organizowania placu zabaw dla dzieci zgodnie z ich potrzebami i przy ich pomocy ciągle napotyka trudności, ponieważ są dalekie od komfortu, od tego, na co dorośli stać wobec dzieci. A stać ich na wiele... tyle, że dzieci to nudzi. Jeden z chłopców zapytany na temat placu zabaw powiedział: „Dajcie nam pusty teren, a my już sami go urządzimy i to będzie najlepszy nasz plac zabaw”.

Dotychczas mimo nawoływania do kształtowania twórczej postawy dziecka system edukacyjny nade wszystko sprzyja wychowaniu uniętnego konsumenta dóbr cywilizacyjnych. Jaskółki jednakże zwiastują, że konsumpcyjny model życia już się przeżywa i że przyszła postawa będzie kształtowała się raczej w kategoriach „być”, a nie „mieć” a to nas dorosłych zobowiązuje. Stworzenie warunków dla rozwoju postawy „być”, to m.in. konsekwentna realizacja Centrum Kultury Dziecka w Łodzi z dziećmi placówką muzealną. To także zmiana postawy dorosłych wobec małego człowieka — nie dziecko do mebli, ale meble dla dziecka, a więc dające się kształtować, podlegające przemianom, modyfikacji, różnemu wykorzystaniu w twórczej zabawie.

Proponuję, żebyśmy się poznali wszyscy, którym zależy na takim sensownym placu zabaw, żebyśmy zwrócili uwagę, bo wszystko co nowe jeszcze z takim mozołem się przebiega, w tym niby podlegającym gwałtownym przemianom świecie.

dr Maria Pińska jest
Kustoszem Działu Widowskiego
Lalkowych Muzeum
Archeologicznego i Etnograficznego
w Łodzi

stają się bogatsze warstwy społeczeństwa. Kultura zatem z ogólnonarodowej staje się udziałem wąskiej części narodu, co w dalszej konsekwencji — przez brak korzeni i żywotności w całym społeczeństwie — wiedzie do kosmopolityzmu kulturowego. Musimy się bronić przed marnowaniem nowoczesnymi starych kamieni, bo one właśnie są tą luksusową tandetą.

Brońmy piękna zawartego w rzeczach najprostszych. Zamiast oglądać salony Piotrkowskiej, proponuję przejść się ulicą Więckowskiego i obejrzeć, jak piękne do dzisiaj są drewniane podziały witrin sklepowych. Tam szczęśliwie nie trafiał jeszcze zbawca modernizacja central handlu uspołecznionego, a prywatni właściciele kierując się zdrowym rozsądkiem nie wymieniają stolarzy na kamienne okładziny, bo po co wyrzucać pieniądze, skoro ta jeszcze dobra. Czy stęp państwowy lub spółdzielczy straciłby coś ze swego prestiżu, gdyby zachować w nim takie obramienia witrin? A z drugiej strony czy w bogatych państwach Europy do dziś większość małych, eleganckich sklepików pachnących farbą drukarską, werniksem, tytoniem i lawendą, nie zawdzięcza części swego uroku starożytnym witrinom i markizom? My nadal wolimy sklepowe kombinaty, w których i tak nie ma co kupić, choćby warszawski molocho księgarski Uniwersus. Czy decentralizacja i indywidualizacja kultury mają miejsceową tradycję nie powinna nadać takiego charakteru i naszemu miastu? Oczywiście jasna, lśniąca okładzina i duże proste otwory okien między nią dają wrażenie otwartości, dostępności, przejrzystości, które powinny cechować wzorem amerykańskich supermarketów, dobry sklep, czy biuro podróży. Ciekawe jednak, że to właśnie nasze współczesne budownictwo sklepowe odmawia swym działom tych cech (proszę spojrzeć na szarą bryłę bunkra Centralu albo aluminowe supersamy osiedlowe), wyżywając się twórczo na starszej architekturze. Dlaczego? Niech nowo budowane sklepy będą jasne i przestanna korzystać z zimnego światła jarzeniówek, a starym sklepom pozwólmy żyć ich życiem. Bo takiego nam brakuje

P.S.

O potrzebie małych, przytulnych i charakterystycznych przez swą indywidualność sklepików świadczą coraz liczniejsze boutique i shopy. Niestety, estetyczna strona ich wystroju nabyła często jest szkołą złego smaku. Warto chyba wykorzystywać zachowane jeszcze oryginalne lokale sklepowe.

Horn tak chciał

dzistał Szczepaniak

„Na krańcu Ameryki wyrasta z oceanu posepny stożkiem wyspa. Brudnobrązowa i szara, poprzecinana białymi żyłami kwarca, wystawia na uderzenia wichru nagą skalę. Od południa zniszczone erozją zbocze wyspy zmieniło się w strome, pobrażone graniami urwisko. Oglądane z tej strony przypomina zafrasowanego starca wpatzonego w groźny, niezmierzony ocean. Urwisko to tworzy przykład na którym kończy się Ameryka i przy którym Atlantyk spotyka się z Pacyfikiem. Od wieków tłuła o jego skały miriady fal od wieków chłoseją ją sztormowe wichry, a ON trwa niewzruszenie wyznaczając potrójną granicę: kontynentu i dwóch oceanów.”

Płynąca z kraju do antarktycznej bazy polskich polarników — „Pogoria” zbliżała się ku Hornowi z rzadkim, wręcz niebywałym fartem, który wobec wcześniejszych naszych obaw — sądząc chociażby z tego co na tych wodach spotykało innych — wydawał nam się wyraznym prezentem od losu. Nieobecność sztormowych wiatrów kusila, podjudzała do marzeń o tej, jedynej być może w życiu, szansie... Byliśmy już przecież tak blisko, na trasie mijanej właśnie cieśniny Magellana, pod brzegami Ziemi Ognistej...

Przedsmak farty i szczęścia ofiarowały nam najpierw słynne „ryczące czterdziestki” przekazujące w dość łagodny sposób „Pogorę” jeszcze groźniejszym „wyjaćmy pięćdziesiątki”. Wiedzieliśmy jednak, że w każdej chwili doświadczyć możemy (co nie znaczy przeżyć) wiele z tego, co przyniosło tym szerokościom geograficznym ich złą sławę i aktualne do dzisiaj przydomki — nadane dawno temu przez tych, którzy całymi tygodniami słuchali tutaj ryku fal i wycia wichru w takielunku.

A nie była i nie jest to sława wymyślona przez marynarzy pod wpływem nadmiaru rumu wypitego w portowych tawernach i knajpach. Na tę sławę składają się fakty. Tragiczne fakty — gromadzone w raportach kapitanów i navigatorów, w sprawozdaniach towarzyszy okrętowych i ubezpieczeniowych, w długiej historii żeglugi po tych wodach uznanych za najbardziej niebezpieczne rejony na świecie.

Powie ktoś, że pływające wokół Hornu współczesne motorowe kołosy niebyłyby się chyba musza lękać sztormów, huraganów i olbrzymich fal Wielkiego Oceanu Południowego. To prawda. Ale berkeny „Pogoria”, ożywająca w roku 1981 na tych wodach wspomnienia epoki kliprów, i fregat, liczyć się musiała z tymi wszystkimi i szczególnie niebezpiecznymi, jakie groziły i grożą pod Hornem żaglowcom — zdany, tak dzisiaj jak i przed wiekami, na łaskę i niełaskę wiatrów, fal i prądów... Żaloga „Pogorii” musiała zdawać sobie z tego sprawę. I zdawała. Także i z tego, że mogło po nas pozostać nie wiele więcej poza sceptycznymi uwagami przeciwników tego rejsu:

— „No co — a nie mówię? To przecież było szaleństwo!”

Czasami, w miarę schodzenia „Pogorii” coraz niżej na południe po szczeblach równoleżnikowej drabiny, myśleliśmy także i my:

— „Kto wie — może to jest szaleństwo?”

Dlatego też od momentu wypłynięcia w „wyjaćmy pięćdziesiątki” z niedowierzaniem i podejrliwością patrzyliśmy na tymczasową zapewne zaskakującą łaskawość oceanu. Z rosnącym napięciem upatrywaliśmy w wyglądzie morza i nieba, we wskazaniach wiatromierza i barometru pierwszych znaków utraty tej łaski. A ona trwała.

Wiatr, słońce, ocean — wszystko zdawało się trzymać naszą stronę. Owszem, parę razy przydmuchało, parę razy przyskwało... Dwie doby szliśmy w mglistej zawieszynie, założyliśmy na wszelki wypadek sztormiliny wzdłuż całego pokładu, jako dodatkową gwarancję bezpieczeństwa, ale w tym co działo się na morzu i niebie nie było — na szczęście — nie ze spodziewanej grozy tych okolic.

„Wyjaćmy i ryczące” tradycji przypominały na razie nie stawało się za dużo. Zamiast przerażających sztormów i fal sięgających 25 metrów wysokości płyniliśmy po łagodnie oddychającym oceanie przy wietrze o sile 4—5 stopni Beauforta. Jednak napięcie obudzone coraz większą bliskością Hornu trzymało w pogotowiu naszą czujność. Każdej godziny, na każdej wachcie, po każdym skwale rozpoczynać się mogło przecież wszystko co najgorsze, co potwierdziłoby

PONURA SŁAWĘ STAREGO
LUDOZERCY...

W tym napięciu i oczekiwaniu mineliśmy szczęśliwie cieśninę La Maire oddzielającą przylądek San Diego na Ziemi Ognistej od groźnej, wypiętrzonej wysoko ponad ocean Wyspy Stanów — przypominającej swym wyglądem siedzące gnomów, duchów i czarownic. W tym 13-milowej szerokości przesmyku wiatry i prądy

zgotowały już wielu żaglowcom i jachtom pułapkę bez wyjścia. Nam się udało.

„Pogoria” wypłynęła z cieśniny La Maire w całej krasie swoich wszystkich żagli rejoywych, a także grota, bezana, kłiwów i sztakli. Płynęła spokojna, rasowa, biała i piękna, popychana słabym wiatrem wzdłuż brzegów Sierra del Fuego, w stronę coraz bliższego Cabo de Hornos.

Ziemia Ognista, oglądana z bliska, z odległości 2—3 mil miała to samo co wyczytane w książkach — zimne, dzikie i fascynujące oblicze. Jak — może już jutro — pokaże nam Horn?

To nasze oczekiwanie i napięcie ujawniało się w różny sposób lub skrywało za pozorną obojętnością. Jedni wystawali długo przy burcie obserwując poszarpane brzegi tego końca świata, inni co jakiś czas schodzili do kabiny nawigacyjnej, by sprawdzić na mapie jak daleko jeszcze jest od nas ten najbardziej nieprzejednany z przylądków...

Była niedziela — 57 dzień naszego rejsu. Do Hornu pozostało już tylko jakieś 50—60 mil. Albatrosy, które już dawno upodobały sobie „Pogorę” towarzyszyły nam nieustannie także i tego wieczoru — popisując się swoją wytrzymałością, akrobatycznym kunsztem swojego lotu i pozwalając nam traktować swoją obecność przy nas jako oczywistą dobrą wróżbę.

Tego dnia, tego wieczoru było nią dla nas zresztą wszystko. Nawet inny niż zazwyczaj zachód słońca, obejmujący czerwoną luną trzy czwarte horyzontu, nawet chmury uciekające od nas na krańce widnokręgu i tworzące wokół „Pogorii” gigantyczną koronę o fantastycznych kształtach... Pogoda była nadal doskonała. Wiatr wyprawdzie trochę kręcił nie mogąc się zdecydować skąd wiać, ale dopóki barometr nie spadł, nasz optymizm rósł spokojnie i bez przeszkód, wraz z nadzieją, że pewnie nam się uda i „zaliczymy ten cholerny, wspaniały Przylądek Nieprzejednany”.

W pewnym momencie nasz jachtowy intendent pacnął się dionią w czoło i przypomniał głośno, że warto by już włożyć do lodówki szampana wiezionego tyle tysięcy mil, na tę uroczystą chwilę gdy...

— Jasne! — poparliśmy go ochotczo wstydząc się ulec przesądnym obawom, że coś tam mogłoby zapisać tak bliski i tak bardzo upragniony sukces. Jedynie bosman mruczał coś o przedwczesnej radości i wyglądał na bardziej zafrasowanego niż zwykle.

Kiedy tego wieczoru, o godzinie dwudziestej, obejmowałem wraz z trzema kolegami wachtę mającą potrwać do północy, ja także nie bardzo potrafiłem ugasić w sobie podskórny niepokój czy ten tak łagodny obecnie ocean nie podniesie się nagle przeciwko nam? Niby nie na to nie wskazywało, tyle że młe wlotki się jakoś, rozciągały, wydawało się, że stoimy w miejscu jak zaklepi przez ten poszarpany na kawałki, na tysiące wysp i wysepek koniec Ziemi Ognistej... Złudzenie? Zapewne, bo i wiatr zwodził — to ledwie dysząc bez siły popchnięcia „Pogorii” szybciej niż 3—4 węzły, to znów podrywając się obcecując do pracy przy naszych żaglach — w szkwalach, które rozpedzały nas na krótko i równie nagle jak przyszyły gasy gdzieś za rufą...

I tak mijała godzina za godziną. Aż wreszcie — tuż przed północą — Horn zawołał do nas swoim normalnym głosem.

Z gęstej, nieprzeniknionej ciemności, znad tego wielkiego cmentarzystka statków i ludzi nadciął z jękiem i gwizdem szwał o sile 40—45 węzłów, co oznacza 9 stopni w skali Beauforta. Stałem wówczas za sterem „Pogorii” i czułem, że w tej chwili nie siła, lecz kierunek tego uderzenia ma największe znaczenie. Szliśmy wówczas z wiatrem północno-wschodnim, więc nam w pół burty. Gdyby i ten szwał, wzorem swoich walejszych poprzedników nadciął z tego samego kierunku i utrzymał się na nim, wówczas dostalibyśmy co najwyżej „kopa” — zwiększając szybkość, zwiżając w miarę potrzeby niektóre żagle i pozostając nadal na kursie.

Niestety, Ten... hornu... syn — uderzył od rufy i... błyskawicznie zaczął skręcać w stronę dziobu. Ustawione do pół wiatru żagle rejoye zaprotestowały na takie zaskoczenie gwałtownym łopotem. W następnej chwili uciekłem już z dziobem „Pogorii” przed tym szkwalem — kręcąc ile sił kołem sterowym, by nie dopuścić do nie przewidzianego zwrotu, by — jak uprzednio — mieć wiatr z boku, a nie przeciwko sobie i żaglom.

— Rośnie! — Jasiu — rośnie! — wrzasnąłem od steru w głąb kabiny nawigacyjnej, go wiatr rzeczywście rósł, a wskazówka wiatromierza co chwila doskakiwała do cyfry 50 węzłów.

Janek Klossowski — oficer II wachty wyskoczył z nawigacyjnej jak wypchnięty sprężyna. Jeden rzut oka na żagle i już z dwoma pozostałymi członkami II wachty pędził w stronę dziobu, by próbować podnieść na gordingach, gejtawach fok-żagiel... Już był na mostku kapitan, już cisnąć guzik alarmowego dzwonka wywoływał

„WSZYSTKIE RĘCE NA POKŁAD” już pierwsi ludzie wspinali się na reje, a „Pogoria”, zamknięta w żółtym kręgu światła z reflektorów masztowych, gnała w zbłętanym tym szalonym wiatrem kipieli — w ciemność...

Stałem za sterem i mogłem jedynie patrzeć jak moi koledzy uwiązują się na rejach, jak wyrwywają wiatrowi, przyduszają sobą, wwiązują kolejno bom-brama, brama i foka. Jak ci na dziobie — walczący, by w porę okiełznać kłiwry zanim szwał porwie je na strzepy, zapadają się w górę i w dół, wylaniają na moment i znów giną z oczu... Jak ocean budzi się, powstaje, chwytając za burty, przechyla — sięga po nas coraz to nową, potężniejszą falą...

Ale i ja nie mogłem narzekać na brak roboty. Dawny kurs kompasowy przestał istnieć. Trzeba było sterować wyłącznie na wiatr, a ten...

— Odpadaj, jeszcze odpadaj! — krzyczał z mostku kapitan, bo ów szwał z pozdrowieniami od Hornu, ani myślał trzymać się stalego kierunku. Z pasją, zjadłością, gonilem więc jak najszybszymi obrotami koła sterowego ów uciekający ze wschodu na południe wiatr. Szybko, byle szybciej. Raz i drugi szprychy koła uderzały mnie boleśnie w palec, ale statek słuchał opornie, kręcił za wolno, za słabo.

— Przejdź na ster elektryczny! — nowa komenda z mostku i teraz już zamiast koła — krótka rączka z gałką i dużo większa możliwość szybkiego przełożenia steru z burty na burte. I bardzo dobrze, bo wiatr jakby pragnął bawić się z nami w kotka i myszkę. Ledwie ułożyliśmy jakotako wzajemne stosunki, ledwie położyliśmy się na jaki taki możliwy kurs, kiedy ten stumienny wysłannik Starego Ludozercy — nagle zamierał, by wrócić wiać z powrotem nie od dziobu lecz od rufy.

— Komendy: „Ostrzyż!” i „Odpadaj!” — gonili jedna drugą. Ludzie dwieli się i troili zrzucając bezana, potem grota, a ledwie „Pogoria” próbowała odzignąć co nieco na nowym kursie względem wiatru, tenże cichł obudnie, rzekłbyś: udawał śmierć, nie zmniejszał, by za chwilę poderwać się ze wzmożoną siłą i — raz jeszcze zmieniając kierunek — proponować nam całą gonitwę od nowa...

Trwało tak z dobrą godzinę zanim wiatr ustakował się wreszcie, zanim „Pogoria” wróciła na dawny kurs, zanim zmęczeni, zziębnięci ludzie mogli wreszcie odpocząć. Schodziliśmy pod pokład ze świadomością, że Horn odepchnął nas po raz pierwszy, ale pewnie nie ostatni. A kolejna wachta na mostku i przy sterze uczepliła się zachłannie nowej, ciągle jeszcze nieugaszonej nadziei...

Ta noc pozostała nam w pamięci jako noc nerwów i złudzeń. Po owej, wspomnianej wyżej, szarpaninie, około godziny drugiej po północy — wiatr zdechł — przyszła kompletna flauta. Zapadła więc decyzja uruchomienia silnika, by przy jego pomocy odrobić nieco straconych mil, podejść znowu w pobliże Hornu, a gdy zjawi się wiatr — dostawić żagli i... nie zmarować szansy.

Niestety, tym razem już nie wiatr, lecz złośliwy los uparł się, by przeciąć waleń nici łączące nasze nadzieje z Przylądkiem Nieprzejednanym. Nie tylko czytelnikowi, ale przede wszy-

stkim nam samym trudno było uwierzyć, że oto silnik, który dotychczas w tylu różnych sytuacjach działał sprawnie — nagle, teraz kiedy najbardziej potrzebowaliśmy jego poparcia i pomocy — odmówił nam jej stanowczo. Nawaliło urządzenie nastawcze śruby. Nasi dwaj mechanicy w pocie czoła, w największej pasji i poświęceniu robili co się da i ile można było, żeby naprawić fatalne uszkodzenie. Awaria okazała się jednak zbyt poważna, jej usunięcie musiało potrwać kilka godzin, a w nadciął nad „Pogorę” już nie jakiś międzyczasie...

Około godziny piątej nad ranem tam chimeryczny, narwany szwał do męczenia wody i pobożnych życzeń, ale solidny, zdecydowany wiatr południowo-zachodni, który z siłą tężającą od 6 do 8 stopni Beauforta zaczął odpychać nas od Hornu w dół na południe, w stronę Wysp Szefflandzkich i Antarktyki. Na dalszą walkę i kolejne próby nie było już szans. Wiedzieliśmy dobrze, że na zmianę kierunku wiatru moglibyśmy czekać pod Hornem i tygodniami...

Około godziny 8 rano pożegnaliśmy więc na trawersie, w odległości pięćdziesięciu paru mil przylądek Horn i nasze, wlezione tutaj z drugiego końca świata, przez blisko 9 tysięcy mil jakże złudne nadzieje z jakimi zwykle zostawać się najtrudniej. Chociaż więc dziób „Pogorii” patrzył na południe, my długo jeszcze wyglądaliśmy za rufę, tam gdzie za fortyfikacjami z fioletowych chmur ukrył się przed nami ów nieprzejednany...

Czy zasłużyliśmy sobie na to nieprzejednanie? Ośmiadaliśmy sobie gorzcy porażki mówiąc, że tak. Ze zbyt wiele było w nas pewności siebie, zbyt łatwo uwierzyliśmy w to, że Horn da się „zaliczyć” po drodze do innego, uważanego za ważniejszy, celu.

— „No i jeszcze ten cholerny szampan w lodówce! — westchnął ktoś boleśnie...”

Im dalej było od Hornu, tym mocniej wzmawialiśmy sobie — może i słusznie, że takie „zaliczanie” bez walki i przeszkód, nie dałoby nam w sumie prawdziwej kaphornowej satysfakcji, że właściwie dobrze się stało, bo...

Eh, takie tam gadanie! Skakalibyśmy do góry z wielkiej uciechy, pili tego niby pechowego szampana bez żadnych uprzedzeń i mieli się w kraju za dzielnych kaphornowców. Cóż, warto powiedzieć szczerze: szansa była blisko, sięgnęliśmy po nią łapczywie — tyle tylko, że Horn był o niej po prostu innego zdania...

Ale nasz rejs nie kończył się przecież na przegranej pod Hornem. A może zwycięstwem było także ocalenie? Tego ranka przy podniesieniu bandery — kapitan Baranowski przypominał nam dobitnie, że najtrudniejszą część naszej wyprawy dopiero się zaczyna. Wpływaliśmy oto do wody 500-milionowej cieśniny Drake’a oddzielającej Amerykę od krańców Antarktydy, wody gdzie sztormowe fale, nieczym nie hamowane, nabierają niewiarygodnej siły i wielkości w swoim biegu wokół globu, gdzie setki i tysiące góh lodowych, stają się nocą najbardziej lodowatym uosobieniem naglej tragedii, gdzie...

To prawda. Kapitan miał rację. Nie było co się podłamywać. Tam, na południu czekał na nas w bazie polarnie ludzie, do których musieliśmy dotrzeć. Horn był tylko próbą, przymarką... Żadne niebezpieczeństwa nie minęły, a wszystkie były nadal przed nami, chociaż szczęście, które opuściło nas w obliczu Starego Ludozercy niekoniecznie musiało to zrobić na zawsze...



